

DZIENNIK CZASÓW WOJNY



Dziennik czasów wojny

Wspomnienia i eseje studentów
Charkowskiego Uniwersytetu Narodowego
im. W. N. Karazina

Pomysłodawczyni i redaktorka: Sofija Butko

Słowo wstępne: Tetiana Kahanowska

Charków

2025

УДК 378.4.011.3-057.87(477.54-25)
(093.3)“2022/2025”
D99



**V. N. KARAZIN KHARKIV
NATIONAL UNIVERSITY**

Dziennik czasów wojny. Wspomnienia i eseje studentów Charkowskiego Uniwersytetu Narodowego im. W. N. Karazina / oprac. S. Butko; sł. wst. T. Kahanowska; tłum. zbiorowe; red. i oprac. tłum. S. Wawryszuk. Charków, 2025. 124 s.

Dziennik czasów wojny to teksty połączone jednym nerwem i jedną traumatyczną cezurą, która radykalnie odmieniła życie wszystkich Ukraińców – pełnoskalową wojną rosyjsko-ukraińską. Wspólna rzeczywistość, lecz różne doświadczenia i niepowtarzalne przeżycia każdego autora składają się na jeden wielki tekst miłości do życia i do własnej ojczyzny.

Tom zawiera wspomnienia i eseje studentów oraz absolwentów Wydziału Filologicznego Charkowskiego Uniwersytetu Narodowego im. W. N. Karazina. Lektura tych świadectw ma znaczenie wykraczające poza granice Ukrainy, przypominając, że w obliczu wojny i cierpienia właśnie słowo, pamięć i prawda stają się fundamentem obrony człowieczeństwa.

To wydanie przeznaczone jest dla wszystkich – dorosłych i dzieci – którzy pozostają wrażliwi na człowieka i jego wewnętrzny świat.

SPIS TREŚCI

Dzienniki studenckie: pierwsze refleksje o pełnoskalowym etapie wojny (<i>Tetiana Kahanowska</i>).....		4
Słowo od redaktorki (<i>Sofija Butko</i>).....		9
Anna Wakulycz	Odrodzona.....	13
Switłana Sakun	Świt.....	19
	Galeria pamięci (zdjęcia).....	21
Oleksandr Krywoszłyk	Spowiedź.....	22
	Galeria pamięci (zdjęcia).....	27
Jelyzaweta Abramowa	Początek wojny pełnoskalowej.....	28
Sofija Kapustianska	Soniu! Nie zasypiaj.....	34
	Galeria pamięci (zdjęcia).....	37
Ksenija Miszczenko	O co chodzi w tej wojnie?.....	38
Anna Kolesnikowa	Wagon życia.....	45
	Galeria pamięci (zdjęcia).....	54
Alina Łastowycz	Dla mnie ostra faza wojny.....	55
Alina Naboka	Zapisy w osobistym dzienniku.....	67
	Galeria pamięci (zdjęcia).....	72
Jarosława Sawczuk	25.02.2022.....	73
Marija Iwaszczenko	Węzeł gordyjski. Noc jarzębiny.....	87
	Galeria pamięci (zdjęcia).....	117
Anna Łymanska	Moje wspomnienia związane z wojną.....	118
	Galeria pamięci (zdjęcia).....	123

Dzienniki studenckie: pierwsze refleksje o pełnoskalowym etapie wojny

*Mój pierwszy wiersz napisałam w okopie,
na ścianie, co od bomb się kruszyła,
kiedy gubiło gwiazdy w horoskopie
moje dzieciństwo, które wojna zabiła.*

*Spływała z nieba wulkaniczna lawa.
Noc była dniem. Dom płonął jak pochodnia.
Pamiętam, jak dławiła się przeprawa –
przez Dniepr – od buchających wód i ognia.*

Lina Kostenko

Na język polski przełożyła Józefina Inesa Piątkowska

„Dziennik czasów wojny” to zbiór niezwykle głębokich, szczerych i przejmujących opowiadań studentów filologii Uniwersytetu Karazina. Między wierszami tych historii wciąż możemy dostrzec marzenia, plany i nadzieje tych naiwnych dzieci, którymi jeszcze niedawno byli ich autorzy... Ale

początek etapu wojny na szeroką skalę zmienił ich życie, sprawił im niewypowiedziany ból i zmusił do znalezienia siły do życia w nowej rzeczywistości... W jednej chwili te wczorajsze dzieci stały się odważnymi, silnymi, zrównoważonymi i świadomymi dorosłymi osobami, które mają jeden wspólny cel – zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.

Studenci zastanawiają się nad swoim krajem, miastem, uniwersytetem, celem w życiu i tym, jak żyć w stanie niepewności i ciągłego niepokoju. Każde zdanie ma swoją własną, niepowtarzalną historię... Czasami są to historie oporu i walki, czasami – bólu i rozpacz, czasami – niemożliwego do stłumienia pragnienia sprawiedliwości. A zawsze – to historie o mocnej i pewnej wierze w Zwycięstwo i o własnych wysiłkach, by je osiągnąć.

Bohaterami dzienników są nie tylko sami autorzy, ich przyjaciele i krewni, ale także nasi obrońcy. Teksty zawierają wiarę w ich siłę i przekonanie o ich niezwyciężoności. *„Od lutego jesteśmy na dworcu niepewności. I tylko nasi żołnierze są w stanie przekształcić wizję raj, w jego wyraźny obraz”* – jest pewien Ołeksandr Krywoszłyk.

W studenckich dziennikach czytamy o „ciszy, którą kradły wybuchy” (Anna Wakułycz), o kolei, która w pierwszych miesiącach wojny „stała się drogą życia dla tysięcy uchodźców wojennych” (Oleksandr Krywoszłyk), o najsmaczniejszych naleśnikach, jakie kiedykolwiek zrobiła „moja mama na Masnycję, kiedy w sklepach nie było już jedzenia” (Anna Łymanska)...

Ważne jest również, że młodzi ludzie wyrażają swoje własne uczucia, starając się głęboko i szczegółowo je zrozumieć i opisać. „Nienawiść, strach, panika – uczucia, których nigdy nie chciałoby się mieć w sercu, ale których nie można nie czuć, kiedy bombardują twój ukochany, pokojowy, suwerenny, niepodległy, niewiarygodnie piękny kraj. Bombardują go za to, że jest wolny. Za to, że jest niezależny. Za wolność słowa. Za to, że istnieje wbrew woli najeźdźców” – pisze Jarosława Sawczuk.

Autorzy snują rozważania nad swoim własnym strachem i jego przyczynami. „Boję się teraz umrzeć. Dlaczego boję się śmierci? Prawdopodobnie nie boję się samej śmierci. Myślę o tym, że boję się

nie zdążyć. Nie zdążyć zrobić czegoś ważnego. Zrealizować tego, co mam do zrealizowania” – mówi Marija Iwaszczenko.

Dzienniki są dziś dla nas bezgranicznie cenne, ponieważ wyświetlają emocje i uczucia autorów w pierwszych miesiącach wojny na szeroką skalę. Znaczenie tekstów dla samych autorów polega nie tylko na rejestrowaniu ich uczuć, ale także na umiejętności ich odczucia i wyrażenia. *„Pisanie w osobistym dzienniku to rodzaj terapii: kiedy nazwiemy uczucie, staje się ono «widoczne», świadome i przestaje niszczyć nas od środka” – przekonuje Alina Naboka.*

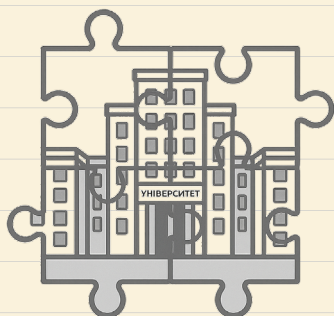
„Te wspomnienia to chwile, momenty, obrazy” (Anna Łymanska). A obrazy te układają się w pokaźną układankę historii życia studentów Uniwersytetu Karazina w niezwykle trudnym okresie wojny i osobistych wypróbowań.

Serdecznie dziękuję redaktorce „Dzienników” Sofiji Butko za pomysł i jego niezwykle twórczą realizację. Dziękuję redaktorom Ołesi Tielieźkinie i Jurijowi Kochanowi za profesjonalne podejście do przygotowania publikacji. Jestem wdzięczna

wszystkim autorom – obecnie absolwentom Wydziału Filologicznego – za ich szczere, emocjonalne i wnikliwe teksty: Jelyzawecie Abramowej, Annie Wakułycz, Mariji Iwaszczenko, Sofiji Kapustianskiej, Annie Kołesnikowej, Ołeksandrowi Krywoszłykowi, Alinie Łastowycz, Annie Łymanskiej, Kseniji Miszczenko, Alinie Naboce, Jarosławie Sawczuk i Switłanie Sakun!

Życzę kreatywnemu zespołowi autorów nowych, błyskotliwych pomysłów i ich udanej realizacji! A nam wszystkim – jak najszybszego zwycięstwa!

Rektor Uniwersytetu Karazina,
Profesor Tetiana Kahanowska



Słowo od redaktorki

W pierwszych dniach po 24 lutego w jednej chwili straciłam spokój i zdolność do jakiegokolwiek działania. Spędzałam dużo czasu w mediach społecznościowych, czytając niekończący się strumień informacji, starając się niczego nie przegapić. Wszystko wydawało się ważne, nawet najdrobniejsze szczegóły. Przeżywając własny ból, każdy z nas starał się nie traumatyzować bliskich swoją rozpaczą i bezradnością. A jednocześnie działaliśmy: angażowaliśmy się w wolontariat, zbieraliśmy rzeczy, żywność, stare telefony komórkowe dla dziewczyn i chłopców z Wojsk Obrony Terytorialnej. To dawało poczucie choćby minimalnej kontroli, pewnego porządku.

Tak minął pierwszy tydzień pełnoskalowej wojny.

Pierwszego marca w centrum Charkowa nadleciały dwie rakiety – w miejsce, gdzie zbierali się wolontariusze i ochotnicy do wojska.

I właśnie tego dnia, szóstego dnia wojny, pojawił się pierwszy wpis w moim dzienniku – krótki, bardziej przypominający notatkę informacyjną: *„Pierwszy dzień wiosny. I szósty dzień wojny. 24 lutego o godz.*

5:00 rano Rosja dokonała inwazji na Ukrainę...”

Pamiętam dobrze: w przeddzień wielkiej inwazji byłam w jednej ze szkół na Ołeksijiwce, obserwowałam zajęcia zaliczeniowe moich studentów w ramach praktyki pedagogicznej. Dzień był przepiękny – lutowy, słoneczny, mroźny i spokojny. Powietrze niesło już jednak zapach wiosny – wiecie, ten niezwykle aromat, gdy przez mróz przebija się ledwie uchwytny zapach wilgotnej kory i mokrej, rozmarzającej się ziemi, z której zaczyna się sączyć delikatna, puszysta zieleń. Siedziałam w ostatniej ławce, patrzyłam przez okno i myślałam: a co, jeśli jutro będzie wojna? Co stanie się z tymi dziećmi, z ich rodzinami? Wiedziałam jedno – dla nas wszystkich życie już nigdy nie będzie takie, jak dawniej...

Niedługo potem koleżanka z Uniwersytetu Łódzkiego zaproponowała, żebym napisała dla polskiej gazety o tym, jak żyjemy, jak trzymają się nasi studenci, przez co przechodzi uczelnia. Napisałam ten tekst jednym tchem – i zrobiło mi się lepiej na duszy. Przez następny miesiąc pisałam dziennik niemal codziennie – on mnie leczył, uwalniał, choćby na chwilę, od nadmiaru myśli i uczuć.

I wtedy zrozumiałam, że jednym z naszych głównych zadań w tej wojnie – oprócz przeżycia i wytrwania – jest opowiadanie, rejestrowanie, dokumentowanie naszych doświadczeń, naszych uczuć. W ten sposób wpadłam na pomysł, aby poprosić studentów o napisanie dziennika czasów wojny jako końcowego projektu w ramach kursu *Studium pisania kreatywnego*. Pomysł bardzo im się spodobał, choć początkowo trochę onieśmiał – trudno jest dzielić się tym, co z definicji gatunku powinno pozostać wyłącznie twoje. A jednak w tym tkwi paradoks dziennika: chociaż piszemy go dla siebie, wszystko jedno podświadomie wyobrażamy sobie potencjalnego czytelnika.

Zebrane tutaj teksty zostały poddane minimalnej redakcji. Najważniejszym celem było zachowanie ich największej wartości – szczerości. Uporządkowanie i redakcja tekstów stały się ogromnym wyzwaniem – niezwykle trudno było raz po raz przeżywać ten ból, ten lęk i to poczucie bezradności. Bolał mnie dosłownie każdy wers – od świadomości, jak szybko i przedwcześnie musieli dorosnąć moi ukochani studenci, jak wiele przeszli, jak wielką dobrocią i światłem emanują

ich opowieści – mimo wszystkich okropności tej niesprawiedliwej, potwornej wojny.

A teraz te teksty idą w świat. Ich celem jest utrwalenie w historii tego, co nie może zostać zapomniane, pokazanie wojny poprzez losy zwykłych ludzi, poprzez ich ból, miłość i troskę. Dzienniki przypominają, że wojna to największa tragedia dla nas wszystkich, a nade wszystko – dla naszych dzieci. Chciałabym wierzyć, że takie świadectwa mogą uchronić przyszłe pokolenia przed wojnami, choć przecież wszyscy jesteśmy realistami, prawda?

Wierzimy w zdrowy rozsądek i sprawiedliwość, a tą publikacją dajemy całemu światu znać, że można żyć pomimo wojny, że można kochać pomimo nienawiści, że można tworzyć pomimo otaczającego chaosu.

Z miłością i wiarą w zwycięstwo
Sofija Butko



Anna Wakulycz

Odrodzona

Nie lubiłem ciszy. Niektórzy powiedzieliby, że to nonsens. Może ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, nie rozumieją, czym jest cisza. Ludzie nie myślą o takich prostych rzeczach. Dla niektórych cisza oznacza siedzenie przed kominkiem w zimowy wieczór, owiniętym ciepłym kocem, popijając ciepłą herbatę z plasterkiem cytryny, który po prostu chce przykleić się do ust. A za oknem wciąż pada śnieg, niezbyt drobny, ale też niezbyt gigantyczny, tak puszysty i tak powolny, że wydaje się, że sekundy się rozciągają. Jak film w zwolnionym tempie. Ale tak naprawdę to nie jest cisza.

Ktoś powie: „Najpierw biegasz w tłumie ludzi w godzinach szczytu, idziesz do urzędu po zaświadczenie, słuchasz hałasu na korytarzach. Potem idziesz do sklepu, gdzie przez głośniki nieustannie słyszeć komunikaty (ktoś kogoś szuka, albo ktoś ma samochód w złym miejscu na parkingu). A ludzie przed tobą gadają i gadają i gadają. Ale

potem wracasz do domu, siadasz na kanapie przy drzwiach wejściowych, wyciągasz nogi, opierasz zmęczone plecy o chłodną ścianę i wsłuchujesz się w ciszę...”. Może i tak, ale to nie ten sam rodzaj ciszy.

Prawdopodobnie nikt nigdy nie słyszał prawdziwej ciszy, ponieważ jest tak rzadka, że prawie niemożliwa do odczucia/usłyszenia. Mówię o ciszy w kosmosie, nawet w próżni. Ponieważ nic tam nie ma, jest to prawdziwa cisza. Chociaż myślę, że człowiek nie jest w stanie wytrzymać takiej ciszy przez dłuższy czas. Po pierwszej minucie takiego stanu (a pewnie nawet krócej) w mózgu zaczynają kłębić się myśli. I czy wtedy będzie to cisza jako taka? Nie sądzę.

A cóż takiego nie podobało mi się w zwykłej, codziennej ciszy? To uczucie, kiedy siedzisz w pokoju, nie ma nikogo wokół ciebie, jesteś sam ze swoimi sprawami. Ale słyszysz ten stary zegar, 15 lat starszy od ciebie, ale wciąż czcigodny, otoczony falistym wzorem, tykający, odmierzający każdą sekundę. Jego zadanie jest proste: każdą sekundę musi odprowadzić w przeszłość i przypominać

obecnym, ile z tych chwil już minęło i ile jeszcze może nadejść. Tak więc ten obracający się zegar wisi na ścianie, a echo jego tykania rozbrzmiewa w uszach. I nie słyszysz nic poza nim, uniemożliwia ci myślenie, odczuwanie czegokolwiek innego, wypełnia cały pokój. Ja w takiej chwili włączam muzykę lub ciekawy, ale nie uciążliwy film, albo staram się zagłuszyć zegar własnymi siłami: klikam długopisem, przesuwam palcami po książce, lekko szeleszcząc kartkami. Najlepiej pomaga czytanie prawie na głos, cicho, prawie niesłyszalnie. To wystarczy, by wypełnić ciszę dźwiękami.

Lub gdy w końcu kładziesz się, aby odpocząć po ciężkim dniu pracy lub po wykonaniu trudnego emocjonalnie zadania. Chcesz położyć się w ciszy i spokoju. I tak siadasz całym ciałem na miękkim łóżku, temperatura powietrza na zewnątrz prawie przekroczyła granicę między ciepłem i gorącem, ale w pokoju jest przyjemnie, a pościel na łóżku otacza lekki chłód. Wszystko wydaje się być ciche. Ale słyszeć ryk wentylatora, który tak wyraźnie nadaje pokojowi ten chłód, a za oknem wydaje się, że ktoś

celowo zatrzymał się, aby porozmawiać tuż pod oknem, okazuje się, że sąsiedzi za ścianą nie mają tak spokojnego psa, jak mówią: jego szczekanie jest jak wata przechodząca przez ceglana ścianę. Być może to ludzie za oknem zakłócili jego spokój. A teraz ciszę znów wypełniają dźwięki...

Nie rozumiemy wielu rzeczy, które nas otaczają. Widzimy rzeczy i jednocześnie ich nie widzimy. Słuchamy, a nie słyszymy. Żyjemy, ale nie cieszymy się życiem. Jest ono tak zwyczajne, jak życie innych. Chociaż wszystko może się zmienić w jednej chwili. Ona jest zawsze jedna. To wtedy, gdy coś, co uważałeś za zwyczajne i codzienne, zostaje ci odebrane. Nawet czyjeś doświadczenie straty nie wpływa na nas tak bardzo, jak nasze własne.

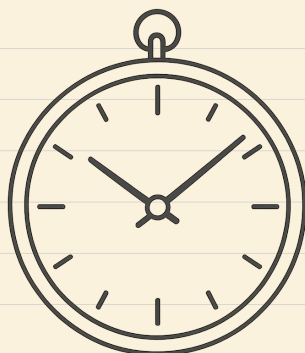
W pewnym momencie zostałem na jakiś czas pozbawiony tej niekochanej ciszy. Została **ona** skradziona przez dźwięki samolotów odrzutowych przelatujących nad głową w ciemności nocy, a ty siedzisz w swoim domu, trzęsąc się od ryku silników i błagasz ich, aby odleciały.

Ukradły **ją** wybuchy, początkowo odległe, gdzieś nad horyzontem. Nie są jeszcze tak przerażające, jakby koło ciężarówki wbiło się gdzieś w gwóźdź i opona pękła, a jej krzyk odbijał się echem. Ale potem są coraz bliżej i przypominają o sobie tak głośno, kiedy się tego nie spodziewasz – w nocy, kiedy jedynym światłem w pokoju jest księżyc prześwitujący przez niewielką szparę w drewnie (deski są przybite do ramy okna, aby chronić mieszkańców przed możliwymi konsekwencjami wszechobecnych eksplozji).

Została **ona** skradziona przez syreny, które zawodzą żałośnie i sprawiają, że marszczysz brwi i kręcisz głową, pilnie wstajesz, gdziekolwiek jesteś, i szukasz nieco bezpieczniejszego miejsca. I nie ma już tej ciszy w środku, tylko wściekłość, nienawiść, strach, niepewność, zmieszane z nadzieją, wiarą i pragnieniem szybkiego, spokojnego odpoczynku.

Nie lubiłem ciszy. Ale teraz tykanie zegara na ścianie, szelest liści za oknem, cichy szum komputera, lekki szum prądu w przewodach, oddech zwierzaka śpiącego spokojnie u twoich stóp, gdy leżysz na łóżku

i słuchasz tych wszystkich dźwięków odbijających się echem w twojej głowie – wszystko to jest tą samą ciszą, która była tam wcześniej, ale chcesz, żeby to była twoja cisza. Cisza, której nie boisz się stracić przez dźwięki eksplozji. Jak szybko zmieniła się ze zwykłej i naturalnej w pożądaną i wymarzoną!



Switłana Sakun

Świt...

I nastąpiła eksplozja. Wielka eksplozja. Potężna. Bomba kasetowa. Rosyjski pocisk trafił bezpośrednio w cywilny samochód. Chwilę później auto stanęło w płomieniach. Rodzina z rodzicami i trójką dzieci spłonęła żywcem.

A potem druga. Nie ma już takich uczuć. Jest tylko eksplozja. Może się wydawać, że jest silniejsza od pierwszej, ale to tylko złudzenie. Pocisk i jego śmiertelne fragmenty pochłonęły życie trzech osób, które wyszły po wodę lub jedzenie między godzinami policyjnymi. Kobiecie urwało nogi. Ogromna rakietą sterczy teraz przed wejściem do sklepu przy ulicy Kłoczkiwskiej.

Trzecia. Czwarta. A potem kolejna i kolejna.

...w tej chwili życie straciło dziewięć osób.

„Mamy rannych i zabitych mieszkańców, cywilów. Są ofiary wśród wojskowych. Nie wiem, czy to ofensywa, ale w tej chwili znowu strzelają”.

Około 16:00.

Wyrzutni MLRS Grad lub Smiercz ponownie użyto bez żadnego powodu, co było widoczne po eksplozji kilku pakietów pocisków. Oczekiwanie na ciszę. Minuta, dwie minuty, dziesięć minut, kolejne pół godziny. Jak długo. Cisza. Mieszkańcy wyężdżają słuch, próbując wyłowić z ciszy dźwięk pocisku.

Zwykły człowiek nie jest w stanie usłyszeć lotu pocisku tego BM. I oni go nie usłyszeli.

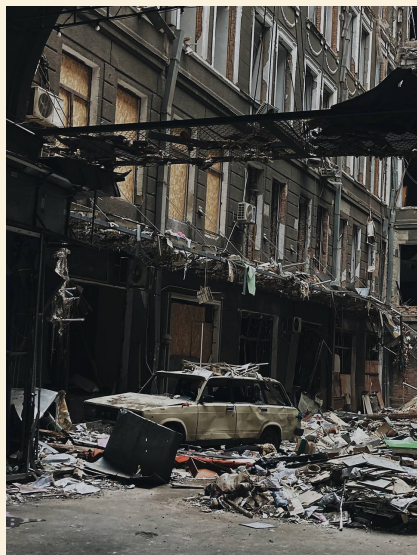
Zginęło jedenaście osób.

Pięćdziesiąt rannych.

28 lutego 2022 r.



Galeria pamięci



Switłana Sakun

Oleksandr Krywoszłyk

Spowiedź

To zmieniło wszystko i wszystkich. Wojna, która rozpoczęła się w 2014 roku, obudziła nasze społeczeństwo z uśpienia. Przed tym krwawym budzikiem nie żyliśmy, ale znajdowaliśmy się w jakimś zniekształconym, fałszywym świecie. Pierwsze zabójstwa na Majdanie, aneksja Krymu i operacje wojskowe na wschodzie kraju były dla Ukrainy ekstremalnym rytuałem przejścia. Przeżyć – albo umrzeć.

I przetrwaliśmy. Proces dorastania był szybki i bolesny. W miarę upływu lat słowo „wojna” coraz rzadziej pojawiało się w telewizji. Wydawało się, że sytuacja mniej więcej ustabilizowała się pomimo nierozwiązanej kwestii terytorialnej. Wielu ludzi popadło w prymitywny stan anabiozy, inni udawali, że wojna jest daleko i ich nie dotyczy. Spokojna rutyna zakrywała oczy różową zasłoną, ale wojna zawsze tu była. Stała za oknem i zachłannie zaglądała w każdą szczelinę naszego domu. Pandemia koronawirusa

trwała, a zagraniczne media coraz częściej mówiły o nowej fazie wojny w Ukrainie.

Och, jak wstyd wspominać siebie z tamtego okresu! Byliśmy gotowi wytłumaczyć absurd nadchodzącej eskalacji argumentami logiki, zdrowego rozsądku, czegokolwiek:

to ekonomicznie nieopłacalne!

ludzie będą stawiać opór!

będzie wiele ofiar śmiertelnych!

wojna jak z podręczników historii, w 2022 roku?

w centrum Europy?

tylko szalenieć zrobiłby coś takiego!

Te myśli rozbrzmiewały w palarni mojego akademika. Zasłona przed oczami czy reakcja obronna psychiki w obliczu koszmaru, który stoi na progu? Zaślepienie oczy świata próbowały dostrzec szare półtony, podczas gdy ta plaga miała kolor głębokiej czerni.

I oto jesteśmy tutaj, w lutym 2022 roku. Niegdyś ulotne przypomnienia o wojnie, które próbowaliśmy ignorować, rozsypały się po naszych miastach bombami kasetowymi, zasiały pola płatkami min.

Tego dnia, 24 lutego, miałem odbywać praktyki w szkole i prowadzić zajęcia. Miałem złożyć mamie życzenia urodzinowe... Ale dźwięki wybuchów zrobiły to przede mną. Historia naznaczyła jej święto czarnym piętnem.

Prawdopodobnie 24 lutego stał się dniem urodzin nie tylko dla mojej mamy. To dzień narodzin i jednocześnie śmierci dla milionów ludzi. Dzień śmierci Ukrainy, którą na zawsze utraciliśmy, i dzień narodzin Ukrainy, która przebudziła się ze śpiączki, mimo beznadziejnych prognoz lekarzy.

Pamiętam, jak rano stałem w kolejce w supermarkecie, żeby wypłacić gotówkę. Ludzie nie mieli maseczek ochronnych, które jeszcze wczoraj były nieodłącznym atrybutem każdego. To było symboliczne dla całego świata – zrzucenie masek. Rosja zrzuciła maskę wojny hybrydowej i pokazała swoje martwe wnętrze. Ukraińcy pokazali, kim naprawdę są. Cywilizowany świat nie mógł już dłużej przymykać oczu na chorobę, która ogarnęła Europę. Prawdziwi przyjaciele zrzucili maski i stanęli dumnie obok mnie, a fałszywi rozplłynęli się w cieniu.

W pierwszych miesiącach kolej stała się drogą życia dla tysięcy uchodźców. Dworzec – miejsce pomiędzy dwoma światami: piekłem, które okupanci nakreślili grubą kreską, a rajem, którego sylwetka ledwo majaczyła w szarej dali. Setki tysięcy ludzi opuściło swoje domy i ruszyło w nieznane. W pośpiechu spakowane walizki stały na zimnej posadzce dworca. Ludzie kurczowo trzymali się tych resztek dawnego życia, bo ich utrata oznaczała zgubienie samego siebie i całkowite obnażenie się przed nieznanym światem.

Moja leżąca babcia, chora na cukrzycę, przeżywała swoje ostatnie tygodnie. Rodzice musieli ją ewakuować. Kolejowa droga życia splotła się z jej drogą śmierci. Mogli zostać w Bachmucie, gdzie dziś stoi bastion całej cywilizacji. Dzień przed ostrzałem rodzice opuścili dworzec w Kramatorsku. Ich ciała mogły leżeć obok dziecięcych zabawek, skropionych krwią. Ostatecznie dotarli na Rówieńszczyznę – rodzinne strony babci, które opuściła niemal pół wieku temu. Życie babci zatoczyło koło i zakończyło się w rodzinnym grobie, na ojczystej ziemi.

W kieszeni spodni, które chwyciłem ze sobą w tę drogę życia, znalazłem kilka skarbów z przeszłości: czerwonego lizaka, który dostałem zamiast reszty, klucze do mieszkania w Siewierodoniecku, którego los nadal jest niepewny, jedną chorwacką kunę, którą znalazłem obok domu. Cudem została ze mną, bo zapomniałem dodać ją do kolekcji monet. Mój przyjaciel żołnierz dał mi jedną ze swoich rzadkich monet: „Trzymaj, jeśli nie wrócę – zostanie dla ciebie”. Mam nadzieję, że nie zostanę dla niego Charontem, który przewozi zmarłych przez rzekę Styks. Jego przyszłość, jak i przyszłość wszystkich Ukraińców, wciąż walczy o prawo do życia. Od lutego jesteśmy na dworcu niepewności.

I tylko nasi żołnierze są w stanie przekształcić wizję rajy w jego wyraźny obraz.



Galeria pamięci



Switłana Sakun

Jelżyżaweta Abramowa

Początek wojny pełnoskalowej w pierwszych dniach nie wydawał się straszny i przerażający. Pamiętam, jak 14 lutego rozmawiałam z moim chłopakiem na parkingu po obejrzeniu nowego filmu o prawdopodobieństwie ataku Rosji na Ukrainę. Mówiłam wtedy, że w cywilizowanym świecie coś takiego nie może się zdarzyć, natomiast chłopak wręcz przeciwnie – był przekonany, że to tylko kwestia czasu. Następnie nalegał: jeśli zacznie się wojna na pełną skalę, powinnam wyjechać z Charkowa na zachód lub za granicę, do Niemiec, gdzie wówczas mieszkali moi bracia i siostra. Wtedy myślałam, a nawet byłam pewna, że nigdzie nie pojadę.

W tej chwili już nie pamiętam, co się działo od 14 do 24 lutego. Pamiętam, że codziennie jeździłam na praktyki do szkoły. Pamiętam, jak 23 lutego widziałam na obwodnicy mnóstwo policjantów i żołnierzy, nawet czołg. Wtedy były ogromne korki na drogach, a w prawdziwym życiu wszystko wydawało się mirażem.

Mieszkałam niedaleko lotniska, więc nie słyszałam eksplozji o czwartej nad ranem. Mój ojciec obudził mnie o wpół do szóstej rano – dowiedział się od mojego brata za granicą, że rozpoczęła się wojna pełnoskalowa. On był przestraszony, natomiast ja nie. Nie uwierzyłam wtedy i nie wierzyłam przez kilka dni, choć wygląda na to, że mój układ nerwowy po prostu próbował abstrahować od negatywnych myśli. Ojciec głośno krzyczał, dzwonił do wszystkich bliskich, wydawał mi „rozkazy”, co mam robić i jakie rzeczy zabrać. Szybko spakowałam wszystko do toreb i poszłam zjeść śniadanie, po drodze czytając wiadomości w Internecie. W tym czasie moja mama już od dawna pracowała za granicą, a chłopak napisał, że pojedzie do swoich znajomych wojskowych, aby wstąpić w szeregi Sił Zbrojnych Ukrainy.

Pierwsze dni wojny były szokiem, właśnie dlatego nie było strachu. Bliżej pierwszego marca, kiedy za miastem, w pobliżu mojego domu, a nawet w samym centrum miasta zaczęły wybuchać bomby, odczuwałam przypływ adrenaliny i niezdrowe zainteresowanie tym, co będzie dalej. Zawsze wydawało mi się, że wojna będzie podobna do

tej pokazywanej w filmach o II wojnie światowej. Do pierwszego marca chodziłam do sklepów, kupowałam wszystko, czego potrzebowałam do jedzenia i higieny osobistej, kilka razy dziennie rozmawiałam z przyjaciółmi i rodziną.

Pamiętam, jak to było naprawdę przerażające i straszne, kiedy Rosjanie puścili myśliwce na nasze niebo. Oni robili to w nocy, pośród ciszy i ciemności, jakby te dźwięki dochodziły z samego piekła pod ziemią. Mieszkaliśmy wtedy w pięciopiętrowym budynku na ostatnim piętrze i wydawało się, że samolot zaraz wyląduje na dachu naszego domu. Za każdym razem wydawało się, że rakiety uderzą w nasz dom; mieszkaliśmy na ostatnim piętrze, więc strach przed wpadnięciem do wszystkich mieszkań i śmiercią pod gruzami był zbyt namacalny. Alarm lotniczy w nocy nie pozwalał mi spać spokojnie, bo po nim obowiązkowo zjawiały się samoloty na niebie, a strach powracał. Najstraszniejsze było poczucie stanu zawieszenia, kiedy miasto było ostrzeliwane aż do północy, potem wszystko cichło, a po kilku godzinach rozlegały się nowe eksplozje. To były te sytuacje, kiedy prawie zapadasz w fazę

głębokiego snu, ale ktoś bardzo Ci przeszkadza i budzisz się z bijącym sercem w piersi, jakbyś już umarł. Pamiętam, że w te straszne dni spałam na krześle w przedpokoju, bo mój pokój ma bardzo duże okna, i salon też. Dziwnie było patrzeć na mojego ojca: pierwszego dnia był bardzo niespokojny, a potem przespał całą noc przy dźwiękach myśliwców i eksplozji, nie budząc się. Straszne myśli wkradały się do mojej głowy, gdy eksplozje wstrząsały budynkiem, jakby zaczęło się trzęsienie ziemi, a okna dzwoniły od fali uderzeniowej.

1 marca obudziłam się i zobaczyłam filmik z eksplozją w budynku Obwodowej Administracji Państwowej. Ten dzień stał się dla mnie punktem zwrotnym, ponieważ mój chłopak był w tym samym budynku od prawie tygodnia; i niezależnie od tego, jak wiele razy bym nie dzwoniła, nie wiedziałam, czy żyje.

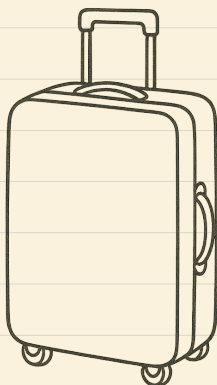
Zadzwoił do mnie później, ze szpitala, a już po trzech dniach, kiedy z ojcem zabieraliśmy go stamtąd samochodem, zobaczyłam, jakie straszne obrażenia odniósł tego dnia. Trzeciego marca po raz pierwszy wybrałam się do centrum miasta i zobaczyłam puste

ulice, budynki zniszczone rakietami, ułamki, wyrwy, ogień, szkło i śmieci prosto na drogach. Teraz tam, gdzie kiedyś było życie, była pustka.

Mój dziennik czasów wojny można by zakończyć w momencie wyjazdu za granicę dziewiątego marca. Moja mama odchodziła od zmysłów, bo nie mogła być ze mną w tak strasznym momencie. Bardzo się martwiła i błagała, żebym opuściła kraj. I wtedy pomyślałam: jak mogę to zrobić, skoro tu jest moje miasto, tu jest mój ojciec, tu są wszyscy moi przyjaciele, chłopak jest po ostrzale w szpitalu, a ja mam gdzieś uciekać? Było dużo perswazji, napadów złości i krzyków, ale później nie mogłam już wytrzymać presji rodziców. Spakowałam niewiele rzeczy, wiedząc, że za kilka miesięcy wrócę do domu. Doznawałam uczucia strachu na widok pociągów ewakuacyjnych, dużej ilości ludzi na peronach i w wagonach, szalonych kolejek i paniki dookoła, chociaż wewnętrznie i zewnętrznie cały ten czas byłam spokojna, nie poddając się emocjom. Jechałam do Berlina dwa dni na siedząco. To były najgorsze dni w moim życiu. Pamiętam, jak podczas rozmów telefonicznych obwiniałam o to rodziców.

Nie chciałam wyjeżdżać za granicę i nie chcę tu zostawać do tej pory, jednakże życie decyduje inaczej.

Pamiętam, jak po przyjeździe do siostry ona powiedziała mi: „Myślałam, że z nikim nie będziesz rozmawiać, będziesz leżeć cały dzień i nic nie robić, a wyglądasz na zupełnie zdrową psychicznie osobę”. Ale nikt z nas, którzy to przeżyli, nigdy nie będzie tym, kim był przed wojną pełnoskalową. Na początku za granicą podskakiwałam od głośnych dźwięków na ulicy czy trzaskania drzwiami w korytarzu – przypomniało mi to dawny strach i nieprzespane noce na korytarzu na krześle. Głośne dźwięki już mnie mniej przerażają, stopniowo się do tego przyzwyczaiłam, ale ta wojna podzieliła moje życie na „przed” i „po”, tak jak i życie wielu ludzi w naszym kraju.



Sofja Kapustianska

Soniu! Nie zasypiaj. Zatrzymaj się! Ciesz się tą ostatnią chwilą beztroskiej ciszy, cnotliwej, nieuchwytniej. Poczuj smak wolności i spokoju, dotyk domu, ciężkość ulubionego koca. Uświadom sobie wartość przytulności i komfortu, wielkości łóżka i lustra. Zrozumiej, że tak naprawdę jesteś szczęśliwa, że masz wszystko. Dziś nadal należysz do siebie, zarządzasz swoim życiem, przynajmniej coś kontrolujesz. To dzisiaj. A teraz idź spać, a ja powiem, co będzie jutro.

Jutro obudzisz się o 5 rano. Och, kochanie, to nie będzie takie łatwe przebudzenie, jak wtedy, kiedy musisz się przygotować do podróży. Tym razem nie poruszy cię żądza podróżowania, tylko niezwykle, głośne dźwięki. Od razu zrozumiesz, że to nie są dziwaczni sąsiedzi, którzy odpalali fajerwerki z okazji urodzin lub jakiejś rocznicy. Chociaż prawdą jest, że to jednak sąsiedzi, ludożercy i potwory wywołały fajerwerki z rakietami i bombami. W tym dniu zbierzecie się całą rodziną i do szaleństwa będziecie grać w „Farmę”, żeby jakoś odwrócić uwagę dzieci. Zrozumienie tego, co się w końcu wydarzyło, nigdy

się nie pojawi. Nie będziesz wypuszczać telefonu z rąk, rozkojarzone spojrzenie będzie pośpiesznie chwytać wiadomości, a palce w sposób chaotyczny będą wysyłać wiadomości do tych, którzy nie są obok.

A trzeciego lub czwartego dnia, kiedy będzie już bardzo, bardzo późno, usłyszycie dziki szum. Sprawí to, że od razu ukryjesz się w korytarzu. Wszystko wokół będzie się dziko trząść. Odniesie się wrażenie, że mury za chwilę się zawalą. Nad domem przeleci myśliwiec. Będzie tak szumiało, jakby w tym samym momencie odwróciła się ziemia i pochłonięła nie tylko klatkę schodową, ale w ogóle całą okolicę. Jednak dźwięk ucichnie. A potem myśliwiec znowu poleci. I znowu... To będzie dzień, w którym zdejmiecie lustro ze ściany w korytarzu i zawiesicie zasłonami wszystkie witraże na drzwiach wewnętrznych. Tak jest bezpieczniej (na wszelki wypadek). Tego samego dnia pożegnasz się ze swoim łóżkiem. Mama starannie wszystko ułoży na podłodze w korytarzu, a ty zapadniesz w zawstydzający sen, ale nie na długo...

Nie będę tworzyła intryg: wyjedziecie z Charkowa. Będzie nie do zniesienia ciągle

odczuwanie strachu, borykanie się z presją moralną i dźwiękami eksplozji. Zabierzecie minimum rzeczy. Do starej łady waszego dziadka zmieści się pięciu dorosłych, dwoje dzieci i dwa koty. Droga będzie długa, chociaż do celu zostanie zaledwie 60 km. Cały czas będzie słyhać eksplozje i wycie syren. Odetchniesz z ulgą dopiero, gdy znajdziesz się w znacznej odległości od Charkowa. Ogarnie cię cudowna ulga, jakbyś uciekła z kręgu diabła. Pozostaniecie w mieście Boga i Ducha.

A za dziewięć miesięcy znowu przyjedziesz do Charkowa. Do swojego nowonarodzonego miasta, miasta-Feniksa. Ono zmartwychwstało i sprawiało wrażenie młodszego. To nie ten sam Charków, który był do miesiąca lutego. On jest nieco inny i choć nadal jest niebezpieczny, i niezbyt zaludniony, ale tak samo jak wtedy jest twój. Zwycięży tęsknota za domem, za rodzimymi miejscami. Wyraźnie napiszesz sobie: wróciłam, tutaj doczekam zwycięstwa.



Galeria pamięci



Switłana Sakun

Ksenija Miszczenko

O CO CHODZI W TEJ WOJNIE?

Strach

Byłam jedną z tych, które żyły w „bańce mydlanej”, sceptycznie reagując na alarmujące dzwonki przed 24 lutego. A w powietrzu już unosił się zapach wojny...

„Żeby tylko mama się nie dowiedziała, że zaczęto bombardować Charków” – taka była moja pierwsza myśl, gdy osłupiała wpatrywałam się przez okno w płonące miasto.

Czas nie pozwalał nam przyzwyczać się do nowej rzeczywistości – nie mieliśmy go. Każda kolejna minuta mogła stać się ostatnią. Wszystko, co mi pozostało, to śledzić wskazówkę zegara, wiadomości od bliskich, śledzić newsy oraz wsłuchiwać się w odgłosy eksplozji, aby wiedzieć, że nie umrę w następnej minucie.

Zamiast zastanawiać się, co zjeść na śniadanie, w co się ubrać i jak się umalować, rozmyślałam o tym, jak umrę: od bomby, która rozniesie mój akademik na kawałki, czy od wiadomości przepełnionych

bólem i przerażeniem, zdjąć pierwszych ofiar i zniszczonych „obiektów strategicznych”.

Wtedy uświadomiłam sobie bardzo prostą i przerażającą prawdę: nie boję się umrzeć – umrę i jestem tego pewna. Mój los stał się marionetką, przypadkiem, fatum. Od śmierci nie da się uciec – jej oddech czuję tuż za sobą.

My z moją przyjaciółką zarezerwowałyśmy bilety do domu, do rodziny... Jednak nasza Sumszczyzna w ciągu kilku godzin znalazła się w sidłach okupacji. Naszym schronieniem stał się Charków, stacja metra „Peremoha”, akademik nr 9, piwnica, blok 2/2. Pozostawanie w pokojach było niebezpieczne, więc zbieraliśmy się na korytarzu bloku. Podłoga stała się naszym łóżkiem, ściany – fortecą, a sufit przypominał wieko trumny, które lada chwila miało się zamknąć.

Jeden dzień stał się równoważny ośmiu latom. Przerażeni ludzie z walizkami, w których umieścili całe swoje życie, opuszczali rodzinne domy z myślą, że być może już nigdy do nich nie wrócą. Zostali tylko ci, którzy nie mieli dokąd jechać ani czego oczekiwać. Żywy strumień wkrótce przemienił się w milczącą pustkę, którą co chwilę rozrywały dźwięki

wybuchów i odrzutowców. Fioletowy zmierzch przebijał się przez okna pozaklejane na krzyż taśmą...

Straty

Po raz pierwszy uroniłam łzy czwartego dnia pełnoskalowej inwazji, kiedy dowiedziałam się, że zginął dobry znajomy – Artem Komar – w walkach o Charków. Mój względny spokój i chłodny umysł załamały się. W świadomości na zawsze wyryły się jedno z jego ostatnich słów z naszej rozmowy: *„Żeby żaden dzień na tej ziemi nie minął bez twojego dźwięcznego śmiechu”*. Złożyłam mu obietnicę, więc dotrzymam słowa.

W czwartym miesiącu wielkiej wojny obrońców Azowstalu wzięto do niewoli. Wśród nich była osoba mi bliska, której los do dziś pozostaje nieznany. Ten rok żyję w oczekiwaniu, wpatruję się w każde oblicze uwolnionych jeńców, drżącymi palcami przewracam karty list z nadzieją odnalezienia imienia i nazwiska. Nadzieja wciąż tli się w moim sercu. Świadomość ciągle przywołuje jego dobrotliwie uśmiechnięte oczy. Śnił mi się, a rano poczułam ciepło i pewność co do przyszłości. Ukraina się obroni – obroni się Mariupol.

Zrujnowanie

W maju wróciliśmy do domu, na wyzwoloną, ukraińską ziemię, i była to najszczęśliwsza chwila w moim życiu – pierwsze małe zwycięstwo. Przywiozłam ze sobą ciepłe uściski, długą rozłękę oraz wdzięczność za wyzwolone miasto, za możliwość powrotu, za życie.

Nasza trasa była jednak przesycona milczącą ciszą; uwaga pasażerów w autobusie była skupiona na oknach, a raczej na tym, co było za nimi – czarne, wypalone domy, wyrwy w drogach, strzępy starych szyldów z nazwami ulubionych restauracji oraz ogromny zawalony most. Najgłębiej w pamięć wryła się wieś Kłymientowe w rejonie ochtyrskim. Kiedyś przyjazna i pożądana baza wypoczynkowa stała się czarną plamą na mapie Sumszczyzny. Trościaniec – miasto-bohater. Moje przytulne miasteczko festiwalowe zapłaciło wysoką cenę za niepodległość, oddając kawałek siebie. Moja rodzinna osada, Stanowa, to rana, która będzie pulsować wiecznie.

Na głównej ulicy nie było ani jednego nietkniętego, nienaruszonego domu, punkt

medyczny i sklep zostały zniszczone, cmentarz gęsto ułany dołami po odłamkach (nawet zmarłych nie oszczędzono). W naszym domu – wyłamane drzwi, sąsiednie domy – ostrzelane. Sąsiedzi zostali bez ścian i dachu. Obok jednej z chat leżała spalona zabawka dziecięca. Krew w żyłach wrzała, krzyk rozdzierał piersi od środka, oczy płakały. Okazało się, że można jednocześnie odczuwać bezgraniczną radość i nienawiść.

Zaufanie

Mocno zamykałam oczy, a sen – ciężkim zmęczeniem – opadał mi na powieki. Z Oleną cisnęłyśmy się we dwie na jednym materacu – tak było cieplej. Ona bez przerwy przeglądała doniesienia, wsłuchiwała się w każdy dźwięk, liczyła wybuchy, a ja spałam spokojnie, bo wiedziałam, że jest obok.

Zapomnienie

Usmażyłyśmy całą górę naleśników, przygotowałyśmy pyszną kolację i spotkałyśmy się w korytarzu bloku. Ołeksandr, mój kolega z grupy, przyniósł gitarę i zaczął grać piosenki. Trochę

żartowaliśmy i śmialiśmy się, wspominając ostatnie lata studiów, opowiadaliśmy o ulubionych miejscach w Charkowie, pasjach, marzeniach. Nie spaliśmy do późnej nocy. I nie z powodu eksplozji (albo po prostu chcieliśmy w to wierzyć). Kiedy znowu wszyscy się tak zbierzemy, kiedy łyzy zamienią się w uśmiech, a czekanie na nieszczęście – w przyjemną rozmowę? Takie były pierwsze dni inwazji. Wtedy wstydziłam się, że mogę pozwolić sobie na zapomnienie. Wiele osób nie miało takiej możliwości. Ale gdzieś na podświadomym poziomie rozumiało się, że jeśli ma się ten dzień – trzeba przeżyć go jak ostatni. To leczyło, odwracało uwagę od rany, która krwawiła, od wybuchów odbierających ludzkie życie co chwilę, od nieustannego czekania na coś złego.

Miłość

Najważniejsze słowa wypowiedziałam w dzień pełnoskalowej inwazji. I powtórzę je ponownie – w dzień Zwycięstwa. To słowa miłości do bliskich. Tak silne to uczucie, że zdolne walczyć ze śmiercią, zmuszać do życia... *„Co by się nie zdarzyło, bardzo cię kocham”* – drżącym głosem nagrałam

wiadomość głosową. „Córeczko, *bardzo cię kocham. Dbaj o siebie*” – napisała mi mama. Te słowa stały się silniejsze niż modlitwa, niż nieustanne ostrzały, niż myśli... Miłość jest warta wszystkiego!

Rozłąka z tatą nastąpiła w lipcu, przed moim wyjazdem za granicę. Chciałam zobaczyć mamę, siostrę i siostrzeńców, więc podjęłam tę trudną decyzję. Ostatnie, co powiedział mi na pożegnanie: „*Dzwoń, jeśli będzie ci ciężko. Kocham cię, moja mała*”. Ojciec starał się powstrzymać łzy, ukrywając je pod wymuszonym uśmiechem. Czy to naprawdę mój tata? Ten, który zawsze był poważny i powściągliwy, który nie umiał płakać? I żegnać się też nie umiał... W jego spojrzeniu usłyszałam więcej miłości niż w słowach. Zapłakałam pierwsza, jakbym odpowiadała: „*Ja ciebie też, pa*”.



Anna Kolesnikowa

Wagon życia

Zwykły wagon z przedziałami. Owijam się w koc, który zawsze zabieram ze sobą w podróż, i słyszę, jak konduktor dorzuca węgiel do piecyka. Dziś, ku mojemu zdziwieniu, jestem sama w przedziale.

Nagle słyszę świst. Rozległy... Nie taki, jak hamulce pociągu. Podobny do samolotów, które tak uwielbiam obserwować, leżąc na trawie w swoim ogrodzie. Tak, mój dom jest niedaleko lotniska, a śledzenie samolotów nabierających wysokości to czysta przyjemność.

Lecz w tej chwili czas zamiera. Wydaje mi się, że czuję, jak zegar wybija minuty, a ten dźwięk urywa się nagle. Wybuch... Jasne światło oblewa horyzont, jakby ogniste kwiaty wykiełkowały na ciemnym niebie. Do rana zostało jeszcze kilka godzin, a miraż unosił się tak, jakby ktoś włączył tysiące latarni.

Pociąg pędzi naprzód. Rzucam się do okna, by zobaczyć płomienie, które bezlitośnie szarpia zaśniewane przestrzenie. Nagle robi się nie do

zniesienia gorąco. Odrzucam koc, próbując złapać choć trochę świeżego powietrza, ale czuję tylko gorzki posmak na czubku języka. Zdaje się, że dym dotarł nawet do naszego wagonu.

Boję się. Ledwo obejmuję siebie, by choć trochę się uspokoić, i, nie mogąc się powstrzymać, rzucam okiem na okno. Zamiast gwiazd – błyski, które zniekształcają niebo i jakby nakrywają ziemię gorzkim, krwawym prześcieradłem.

Biorę telefon, by sprawdzić doniesienia i smutno wzdycham. Nic. Ani wideo, ani wiadomości. Internet nie działa. Aż nagle – dzwonek. Chorwacka Rapsodia. To melodia przypisana do kontaktu najlepszej przyjaciółki z Kijowa.

– Halo? – odpowiadam trochę zaskoczona. Nigdy nie dzwoniła tak wcześniej.

– Rozpoczęła się wojna.

Trzy słowa, które wywróciły mój cały Wszechświat. Trzy słowa zdolne przekreślić tysiące istnień.

Teraz i ten świst, i ognista pułapka mają swoją nazwę – wojna.

– Gdzie jesteś? – pytam z niepokojem.

– Chowam się w metrze. Nie mogę się wydostać z miasta. Mam przy sobie dwa koty i Platona – głos Niki drży. Platon to jej siostrzeniec. Zaledwie dwa dni temu siostra i jej mąż wyjechali na urlop, zostawiając jej dwuletniego chłopczyka.

Serce na chwilę zamiera, żeby zaraz zacząć walić dwa razy mocniej.

– Uważaj na siebie – mówię, nie wiem, czy proszę, czy błagam.

– Zadzwońę później – i znowu cisza. Ta straszna, dławiąca cisza.

Przez kilka godzin nie mogę wykrztusić ani słowa. XXI wiek! Jaka wojna?!

„To bzdura. Nic się nie wydarzy”, mówili znajomi jeszcze wczoraj. Sama w to nie wierzyłam.

* * *

Pociąg nagle się zatrzymuje. Widzę tłum. Ludzie ze zwierzętami, dziećmi i walizkami próbują dostać się do środka, jakby to był ostatni ratunek. Pociąg życia. Porzucone bagaże, gdzieniegdzie

klatki i transportery. Czuję potworny ból i ruszam do drzwi, by pomóc.

Mój wzrok zatrzymuje się na błękitnej sukience, tak kontrastującej z ciemnymi kurtkami. Dziewczynka, może siedmioletnia, trzyma pluszaka i patrzy na mnie przerażona. Biorę ją na ręce. Gdzie jest jej mama?!

– Gdzie mama? – pyta, jakby czytając mi w myślach.

– Nie wiem – odpowiadam cicho, rozglądając się. Jej rodzice muszą być gdzieś blisko, prawda?

– Chcę do domu – szepcze dziecko.

– Jak się nazywa twój miś? – pytam, by ją czymś zająć.

– On? Nie ma imienia – wzrusza ramionami. – To nie mój miś.

– Skąd go masz? – dopytuję ostrożnie. Pluszak jest brudny, bez jednego oka...

– Znalazłam go na stacji. Leżał sam na ziemi – mówi i odwraca wzrok.

Do przedziału wchodzi starsza pani w długiej czarnej sukni z laską w ręku. „Jakby była w żałobie” –

przebiega mi myśl. Siada naprzeciwko i spokojnie się uśmiecha, jakby nic się nie działo.

I wtedy znowu ten świst. Tuż nad nami.

– Na ziemię! – krzyczę, osłaniając dziewczynkę ciałem.

Wybuch... Szyba pęka, ale nie wypada – wygląda jak pajęcza sieć. Odsuwam się i zerkam przez okno. Wiem, że nie powinnam.

Na stacji – piekło. Prawdziwe piekło. Płonące auta, ruiny, krzyki. Smród spalonej skóry i metalu wdziera się do płuc. Chcę przestać oddychać, by już nie czuć tego zapachu.

– Mówią, że nie wolno patrzeć w rozbite szkło – mówi starsza pani. – I mają rację.

Nawet nie próbowała się ukryć. Chyba widziała w życiu więcej, niż ten wybuch.

– Wtedy było inaczej...

Jej oczy robią się szkliste. Wspomina dawne czasy.

– Zostałam wtedy całkiem sama – szepcze, jakby czytała mi w myślach.

Ta kobieta już nie jest z nami. Jest tam – w przeszłości, w bólu, który nigdy nie minął.

Słyszę krzyki w wagonie. Krzyki strachu (czy mogą być inne?).

– Strzelają prosto nad nami! – ktoś wpada w panikę.

Dziewczynka przy mnie zaczyna się modlić. Wszyscy dołączają. Cały wagon, a może i pociąg, modli się tylko o jedno – by przeżyć. I dzieje się cud. Pociski zatrzymują się w stalowym kadłubie pociągu, jakby ktoś chronił nas własną ręką.

Ile osób dziś uwierzyło w Boga? Jestem pewna – wystarczająco wielu.

Do przedziału wchodzi mężczyzna o kulach. Stracił obie nogi.

– Skąd pan jest? – pytam cicho.

– Z Bachmutu – odpowiada. I znowu serce ściska. W wagonie zapada cisza. Cisza smutku, wdzięczności i bólu.

– Współczuję – szepczę, nie wiedząc, co więcej mogę powiedzieć. Uśmiechnął się lekko, ale nic nie odpowiedział.

Obrazy wirują w mojej głowie jak w kalejdoskopie. Ludzie, wydarzenia, pierwsze dni wojny... Łzy pożegnań, rozmowy w metrze, wiadomości z frontu, radość z małych zwycięstw, niekończące się zbiórki...

Jedność i siła Ukrainy, światło, które pokona ciemność. I tysiące historii, których jeszcze nikt nie opowiedział.

* * *

Wiedział, że wojna się zacznie. Czuł to całym sobą, widział z góry, jak wojsko się przygotowuje, jak na ulicach miasta pojawiają się opancerzone pojazdy. Próbował ostrzec swoich – prosił, by wracali do domu, jeśli tylko mają taką możliwość. Ale... Nie słyszeli. Nie umieli słuchać. Żyli, pracowali, śmiali się... Ludzie nie chcieli czuć zbliżającego się nieszczęścia.

24 lutego zaczął się dla niego wcześniej niż dla wielu innych. Na około godzinę przed wybuchami zdał sobie sprawę, że wojna się rozpoczęła. A kiedy

uświadomił sobie, że strzelają po Ołeksijiwce, że jest tam obwodnica, że studenci mogą nie zdążyć uciec, przestraszył się, zamarł po raz pierwszy i ostatni w tej wojnie.

Dni wojny ciągnęły się powoli i smutno. Nie wiedział, czy wszyscy jego bliscy żyją, czy jego koleżance udało się wyjechać, czy on sam przeżyje... Żył wspomnieniami szczęśliwych czasów przedwojennych, kiedy studenci przychodzili, żeby spędzić razem czas, kupowali kawę nieopodał, głośno rozmawiali, śmiali się, po prostu żyli. To stanowiło jego duszę.

... – Pomożesz na egzaminie? – zapytała, patrząc tak błagalnie, a zarazem przebiegle, że nie sposób było jej odmówić.

– Widać twoje ściągawki – mruknął.

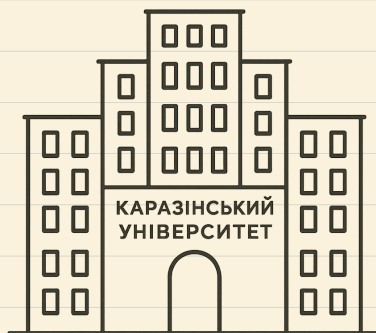
– Ja też cię kocham – zawsze była z nim szczerą, a on pomagał we wszystkim. Była jedną z nielicznych, którzy go rozumieli i słuchali. Obiecała namalować jego portret.

Nienawidził płonących kwiatów na niebie, które wydzielały czarny dym, płaczu i syren karetek.

Wiedział, że i tak przeżyje, ale to nie uśmierzało
nieznośnego bólu ran.

Wiedział, że już wkrótce studenci otworzą
szklane drzwi metra i uśmiechną się ciepło:

– Witaj, Uniwersytecie Karazina! ♥♥



Galeria pamięci



Ksenija Miszczenko

Alina Łastowycz

Dla mnie ostra faza wojny rosyjsko-ukraińskiej rozpoczęła się w 2014 roku. Pamiętam, że kiedy dowiedziałam się o aneksji Krymu, pomyślałam: „Czy już nigdy nie zobaczę Eupatorii, nie pospaceruję z siostrą i mamą po ulicach niesamowitego Starego Miasta, nie zrobię sobie zdjęcia przed tamtejszym meczetem czy na kolanach posągu Herkulesa, nie zjem ulicznych lodów w formie kolorowych kulek (lubiłam brązowe kulki o smaku czekolady, żółte kulki o smaku mango i zielone kulki o smaku kiwi) lub lodów „Pszczołka” z miejscowej kawiarni zrobionych z truskawek i bitej śmietany?”. Moja wciąż dziecięca dusza stanowczo nie chciała w to uwierzyć i uspokajała samą siebie, że w 2010 roku wrzuciłam monety do wodospadu w pobliżu sanatorium „Iskra” – byliśmy tam na wakacjach z moją siostrą, czternastoletnią Ksenią (córką przyjaciółki mojej mamy z miasta Bar w obwodzie winnickim w Ukrainie), dwunastoletnią dziewczynką

z Nikopola (powiedziała mi, że jej rodzice rozwiedli się i prawie przestali zwracać na nią uwagę), piętnastoletnią Aliną (byłam zdumiona, że ona sama myła swoje włosy szamponem; ja wtedy nie umiałam myć włosów), trzynastoletnią Nadią (Nadia była dziewczyną bez arystokratycznych manier, opowiadającą o „urokach” ulicznego życia) i innymi ludźmi. Na suficie pokoju, w którym mieszkaliśmy, był wielki czarny ślad, który dziewczyny nazywały odciskiem stopy czarownicy. Takie historie bardzo mnie przerażały, ale ukrywałam ten strach przed przyjaciółmi, żeby się ze mnie nie nabijali.

Moja babcia ze strony matki (obecnie nieżyjąca) i inni dorośli mówili mi, że półwysep został przejęty przez „małe zielone ludziki”. Na początku myślałam, że dorośli naoglądali się za dużo horrorów z elementami fantastyki kosmicznej i z jakiegoś powodu straszili mnie opowieściami grozy. Opowieści o czarownicach są mniej przerażające niż historie o aneksji i okupacji. Wtedy poznałam te dwa zapożyczone słowa o strasznym znaczeniu leksykalnym.

W lutym 2014 roku, w ramach przygotowań do dni pamięci Tarasa Szewczenki, wzięłam udział w pisaniu listu poświęconego Tarasowi Szewczenko. Tak wiele chciałam mu powiedzieć! Byłam zdumiona, że wszystkie jego przepowiednie dotyczące stosunków rosyjsko-ukraińskich spełniają się z niewiarygodną dokładnością. Najwidoczniej nasz Kobzar miał dar przewidywania, miał dobre wyczucie przyszłości. Nic dziwnego, że Taras Szewczenko jest uważany za proroka narodu ukraińskiego.

W tym samym czasie, w 2014 roku, zaczęłam pisać patriotyczne wiersze po ukraińsku. Ponieważ byłam zbyt ufna wobec ludzi, pokazałam te wiersze mojej szkolnej nauczycielce, Tetianie Wołodymyriwnie Hubskiej. Nazwała mnie szowinistką i wypowiedziała zdanie, które do dziś uważam za antyukraińskie: „Rosja nie jest twoją siostrą, ale jest moją siostrą”. Oczywiście nie zgadzam się, nigdy się nie zgadzałam i nigdy się nie zgodzę ze stanowiskiem moskwofilów. Myślę, że na stanowisko mojej nauczycielki wpłynęło jej

sowieckie wychowanie i sowiecka przeszłość. Nie wiem, czy zmieniła zdanie na temat Rosji po pełnej inwazji wojsk rosyjskich na Ukrainę, ale wiem, że działania moskwofilów w Ukrainie i na świecie są bardzo szkodliwe dla Ukrainy i zagrażają jej bezpieczeństwu narodowemu. Po konflikcie z moją nauczycielką zaczęłam pisać wiersze w tajemnicy przed nią, pokazując je głównie mojej siostrze i mamie. Po raz pierwszy w życiu zdałam sobie sprawę z prawdy, której nigdy wcześniej nie znałam: wojna jest najlepszym sposobem na zerwanie masek i pokazuje prawdziwą naturę ludzi.

Co dziwne, do pisania patriotycznych wierszy na temat wojny w Ukrainie zainspirowało mnie pozbawione zasad stanowisko niektórych osób z otoczenia mojej matki. Byłam oburzona, że po okupacji Krymu przez Rosjan, Krymianka, znajoma mojej matki, zrzekła się obywatelstwa ukraińskiego i przyjęła obywatelstwo rosyjskie. Inna znajoma mojej matki powiedziała zdanie, które w pełni ujawniło jej brak zasad: „Nie obchodzi mnie, gdzie mieszkam. Najważniejsze, żeby mi płacili pieniądze”.

Słyszałam takie historie na własne uszy, kiedy te kobiety przychodziły do warsztatu mojej mamy, aby obszyć swoje ubrania. W takich chwilach myślałam: „Jak to możliwe? Czy one nie kochają Ukrainy? Czy ona nic dla nich nie znaczy?”. Chciałam tupać nogami, krzyczeć na tych ludzi, udowodniać im, że myślę się w swoich poglądach na temat kraju, ale powstrzymałam swoje emocje, ponieważ moja mama nie lubi napadów złości i karze mnie za nie. Pomimo faktu, że takie poglądy są katastrofalne, historie tych ludzi wzbogaciły moje doświadczenie życiowe. To wtedy ostatecznie przekonałam się, że wojna zdziera z ludzi maski i pokazuje jacy są naprawdę.

W czerwcu 2014 roku, kiedy wspinaliśmy się na lokalne wzgórze w drodze do domu mojej babci, moja mama powiedziała mi, że w tym samym czasie w Słowiańsku toczą się walki. Znajduje się on 243 kilometry od mojego rodzinnego miasta. Pomyślałam: „Co robić jeśli, nie daj Boże, Słowiańsk zostanie zdobyty? Czy Walki również mogą zostać zdobyte? Gdzie uciekać w przypadku okupacji?”.

Wiosną 2016 roku wzięłam udział w lokalnym konkursie pisania listów do żołnierzy ATO (operacji antyterrorystycznej, którą zawsze uważałam za wojnę). My, ja i inni uczestnicy tego konkursu, zostaliśmy nawet zaproszeni do budynku Rady Okręgu w Wałkach, aby przeczytać nasze listy gościom wydarzenia, w tym wielu wojskowym. Przypominam sobie, jak podczas czytania listu mój głos drżał z wdzięczności wobec ukraińskiego wojska za możliwość uczenia się i tworzenia, z szacunku dla patriotów, którzy udowadniają swoją miłość do Ukrainy nie tylko słowami, ale i czynami. Przed tym wydarzeniem czułam się bardzo zaniepokojona, ale kiedy zobaczyłam ukraińskich wojskowych, zdałam sobie sprawę, że z nimi nie ma czego się bać.

Po rozpoczęciu studiów na uniwersytecie zaczęłam czytać e-booki podczas jazdy autobusem do i z Charkowa. Niektóre z nich dotyczyły wojny rosyjsko-ukraińskiej. W jednym z nich chodziło o Słowiańsk. Czytając go, pomyślałam: „Cztery lata temu miałam zbyt dziecięcy umysł, nie znałam prawie żadnych faktów na temat toczącej się wojny”. Szczególny wpływ wywarła na mnie książka

Maksyma Kidruka „Nebratni”, o stosunkach Ukrainy z naszym odwiecznym wrogiem.

Od 21 lutego do 23 lutego 2022 r. powtarzałam mojej mamie, że wojna na pełną skalę między Rosją a Ukrainą jest nieunikniona. Mama mówiła, że wojny nie będzie, a jeśli będzie, to tylko na Donbasie. Oglądając głównie rosyjską telewizję, mama błędnie wierzyła, że Ukraina nie musi dołączać do UE i NATO, że ta wojna jest korzystna dla Stanów Zjednoczonych. Niewątpliwie moja mama uległa propagandzie telewizji rosyjskiej.

W przeddzień inwazji na pełną skalę, dwudziestego trzeciego lutego, nieznana osoba w Charkowie zapytała mnie, czy jestem ze Lwowa. Zdziwiła się, że mówię po ukraińsku w ukraińskim Charkowie. Odpowiedziałam tej pani krótko i wyraźnie: „W Ukrainie mówię po ukraińsku”. Wieczorem tego dnia pokłóciłam się z mamą, ponieważ oglądała koncert z okazji Dnia Obrońcy Ojczyzny na rosyjskim kanale telewizyjnym (od 2014 roku nie uważam go za święto). Zapytałam mamę: „Mamo, jak możesz to oglądać? Przecież to

okupanci!”. Mama mi odpowiedziała: „Idź odrabiać lekcje!”. Wciąż traktuje mnie jak jakiegoś uczniaka.

Dwudziestego czwartego lutego 2022 roku obudziłam się o wpół do szóstej rano i zaczęłam szykować się do wyjazdu do Charkowa. Tego dnia miałam prowadzić zajęcia z języka i literatury ukraińskiej w piątej klasie Gimnazjum nr 6 w Charkowie. Zgodnie z moim porannym zwyczajem przejrzałam ukraińskie kanały Telegram. Na kilku zdjęciach zauważyłam pomarańczowe plamy na czarnym tle. Po przebudzeniu nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo.

Dotarłam na dworzec autobusowy, otworzyłam Telegram i ze zdziwieniem odkryłam, że otrzymałam wiele nowych wiadomości od koleżanek ze studiów. Pisały, że powinnam zostać w domu. Mimo to chciałam kupić bilet do Charkowa. Kasjerka sprzedała mi bilet, ostrzegając, że nie wie, czy będą dziś autobusy i że powinnam poczekać na kierowcę. Stałam na dworcu autobusowym przez dwadzieścia minut. Kiedy zobaczyłam autobus, podbiegłam i szarpnięciem otworzyłam drzwi. Powiedziałam

do niego: „Proszę zawieźć mnie do Charkowa. Na mnie czekają dzieci. Mam bilet”. Kierowca powiedział: „Jaki Charków? Dziewczyno! Charków Putin bombarduje!”. Kierowca zamknął drzwi i pojechał w kierunku przeciwnym do Charkowa, aby odstawić autobus do garażu. Poszłam do przyjaciółki mojej mamy, Ołeny, która pracowała na dworcu autobusowym, i zapytałam ją: „Co mam robić?”. Przyjaciółka mamy poradziła mi, żebym zadzwoniła do mamy. Tak też zrobiłam. Mama na mnie nakrzyczała, więc musiałam uciekać do domu.

Kiedy wróciłam do domu, zobaczyłam włączony telewizor, nadający przemówienie Wołodymyra Zełenskiego. Razem z mamą podzieliłyśmy się po równo paczką wermiszelu Mivina, mówiąc jednocześnie, że to śniadanie może być ostatnim w naszym życiu. O ósmej rano zasnęłam i obudziłam się dopiero o czternastej. Poszłam do salonu i z przerażeniem zobaczyłam na ekranie telewizora zdjęcie zniszczonego domu w Humaniu lub Czernihowie.

Moja siostra Ania była wtedy w domu naszej babci. Po powrocie do domu Ania powiedziała mi, że kiedy dowiedziała się o wybuchu wojny na pełną skalę, babcia płakała i ścisnęła się za serce. Nasza babcia urodziła się w 1942 roku (podczas II wojny światowej). Nazwała Władimira Putina oprawcą. Babcia miała bardzo chore serce, martwił ją nocny hałas samolotów. Niestety, serce naszej babci zawiodło. 17 września 2022 roku nasza babcia zmarła – wojna skróciła jej życie.

Wieczorem 27 lutego 2022 roku zobaczyłam wiadomość, że Hennadij Matsehora i Walerij Liubota poddali Kupiańsk. Ta wiadomość wprawiała mnie w histerię. Płakałam przez pół godziny, trzęsłam się. Zapytałam mamę: „Mamo, nasze miasto też mogą poddać”. Mama odpowiedziała: „Mogą, ale tego nie robią. Uspokój się!”.

We wrześniu 2022 roku moja mama i ja pojechałyśmy do Charkowa, aby podać dokumenty na studia magisterskie. Po wizycie na uniwersytecie udałyśmy się na Rynek Centralny. Byłam oszołomiona, słysząc sprzedawców i moją matkę

mówiących po rosyjsku. Grzecznie poprosiłam sprzedawców, aby obsługiwali nas po ukraińsku, a moją mamę, aby zwracała się do sprzedawców i odpowiadała im po ukraińsku. Niestety, żaden z nich nie zareagował na moje prośby. Moja mama i ja opuściliśmy Rynek Centralny, a ja kontynuowałam naszą rozmowę. Zapytałam mamę: „Dlaczego w Charkowie rozmawiasz po rosyjsku? Czy czarne ściany domów zniszczonych przez Rosję, które widziałyśmy, niczego cię nie nauczyły?”. Moja mama odpowiedziała: „Wszyscy tutaj tak mówią, bo są przyzwyczajeni do mówienia po rosyjsku”. Wtedy nasza rozmowa przerodziła się w mój krzyk. Wstyd mi, że krzyczę na własną matkę, ale równie wstyd mi, że moja mama jest zrusyfikowana. Każdego dnia staram się ukrainizować moją mamę, ale jak dotąd nie udało mi się osiągnąć tego celu. Niestety, tylko się kłócimy. Najwyraźniej idę w złym kierunku, bo reedukacja i dotychczasowe podejście nie działają. Muszę więc zmienić taktykę.

Chciałabym powiedzieć kilka słów o studiowaniu w czasie wojny. Wieczorami i w nocy

ciągle słyszę za oknem odgłosy samolotów. Moja siostra i mama też je słyszą, więc to nie halucynacje. Uspokajam się, że to ukraińskie samoloty, bo gdyby rosyjskie latały w moim mieście, nie miałabym już gdzie mieszkać. Z powodu częstych przerw w dostawie prądu zaopatrzyliśmy się w świece. Najważniejsze to być cierpliwym i płonąć jasnym ogniem walki o wolność Ukrainy i jej zwycięstwo nad rasyzmem.

Z wiarą w Zwycięstwo, Alina Łastowycz.



Alina Naboka

Pisanie w osobistym dzienniku to rodzaj terapii: kiedy nazwiemy uczucie, staje się ono „widoczne”, świadome i przestaje nas niszczyć od środka. Mówi się, że właśnie tak działa magia przelewania myśli na papier. Kiedy emocje wypływają atramentem na białą kartkę, nasz stan wewnętrzny się zmienia. Czarne pióro można porównać do brudu, który ludzie wylewają ze swojej duszy na papier. Jednak, jak pamiętamy, magia nie istnieje. Ten ból będzie nas prześladował przez całe życie.

Po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny chyba każdy Ukrainiec pomyślał, że do poranka 24 lutego 2022 roku nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo byliśmy szczęśliwi.

W przeddzień wojny siedziałyśmy z przyjaciółką na Ołeksijiwce w przytulnej restauracji „Trattoria”, czekając, aż kelnerka przyniesie przepyszny makaron z krewetkami. Pamiętam, jak przy wejściu do lokalu poproszono

nas o okazanie zaświadczeń o szczepieniu. Dziś taka prośba wywołałaby tylko śmiech. Przy kieliszkach wina żartowałyśmy i rozmawiałyśmy o codziennym, beztroskim życiu. Wtedy w ten sposób postanowiłyśmy się zrelaksować po kolejnym dniu praktyk pedagogicznych.

Po tym spotkaniu jechałam autobusem, zajmując miejsce przy oknie. To była zwykła podróż z miasta do domu. Słuchając w słuchawkach ulubionej muzyki, lubiłam obserwować, jak piękne, wielopiętrowe budynki i miejskie krajobrazy stopniowo znikają i ustępują miejsca bezkresnym polom. W tamtym momencie nie mogłam sobie wyobrazić, że za kilka dni wyjazd tą drogą stanie się niebezpieczny: po przekroczeniu przejazdu kolejowego można było znaleźć się pod ostrzałem artyleryjskim. Gdyby ktoś mi wtedy coś takiego powiedział, pomyślałabym, że zwariował. Dla wielu osób wojna na pełną skalę wydawała się czymś niemożliwym, ale 24 lutego 2022 roku udowodnił, jak bardzo się myliliśmy.

Moja historia następnego poranka nie będzie się wyróżniać spośród opowieści milionów

Ukraińców. Przez sen dotarły do mnie słowa mamy: „Wstawaj, wojna się zaczęła”. Tak obudziłam się w małym miasteczku Zołocziw, położonym 22 kilometry od granicy z najbardziej podłym krajem na świecie. Wspomnienia z wczorajszego dnia natychmiast zamieniły się we wspomnienia z poprzedniego życia.

Przez cały kolejny miesiąc nieznany strach zmuszał mnie do zasypiania każdego dnia w ubraniu. Każdy z nas ma z dzieciństwa wspomnienia o „własnym” potworze, który przychodzi w nocy i cię zabiera. W tamtym czasie tym krwiożerczym stworzeniem była Wojna.

Przez miesiąc stopniowo dostosowywaliśmy się do warunków, do których – wydawałoby się – nie da się przywyknąć. Ludzie wariowali z powodu braku zrozumienia. Na Telegramie powstało kilka czatów do komunikacji i wymiany wiadomości. Wybuchła panika, gdy ktoś pisał o obecności sprzętu okupanta w naszej okolicy albo gdy wśród uczestników znajdowano „podejrzaną” osobę o dziwnej nazwie i z ukrytym numerem telefonu. Logistyka była zniszczona, półki w sklepach pustoszały. Instagram

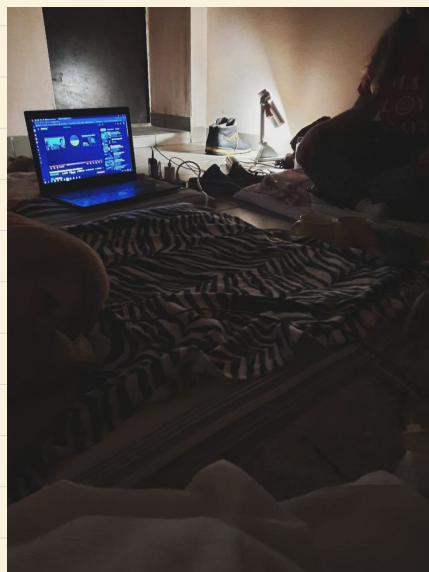
zalewały posty o środkach bezpieczeństwa przy kontakcie ze skórą substancji trujących: fosforu, sarinu, chloru, amoniaku... Jednocześnie niektóre wiadomości, oprócz czystego przerażenia, zaczęły też wywoływać śmiech i poczucie całkowitego absurdu.

W nocy zaczęliśmy budzić się od głośnych wybuchów, a rano dowiadaliśmy się o wybitych szybach i zniszczonych domach na obrzeżach miasteczka. Tak zrozumieliśmy, że potwór o imieniu Wojna dotarł także do naszego miasteczka. Naszym schronieniem stał się korytarz. Ta mała sklejoną przestrzeń bez okien dawała to iluzoryczne poczucie ochrony po pierwszym wybuchu, które znikало wraz z kolejnym złowieszczym dźwiękiem rozchodzącym się niebawem. W tym pomieszczeniu stała tylko toaletka, której boczne lustro w pewnym momencie trzeba było zasłonić. Zasłonięte lustro od dzieciństwa kojarzyły mi się ze śmiercią i pogrzebem, co również potęgowało atmosferę grozy. Pewnego razu spędziłam niemal cały dzień w tym „ratunkowym” korytarzu. Nagle usłyszeliśmy serie z karabinu i świst pocisków. To było przerażające uczucie, jakby wszystko działo się na twoim podwórku.

W takich warunkach spędziliśmy jeszcze kilka dni, po czym strach ostatecznie zwyciężył. To był moment uświadomienia sobie, że nadszedł czas, by opuścić swój dom na nieokreślony czas. Na dworcu towarzyszyła mi myśl, że być może nigdy nie uda mi się wrócić do rodzinnego miasteczka.



Galeria pamięci



Ksenija Miszczenko

Jarosława Sawczuk

25.02.2022. Wczoraj rano, 24 lutego 2022 roku, obudziłam się w moim ojczystym kraju, w którym wybuchła wojna. Piszę to, aby choć trochę uporządkować swoje myśli.

Cóż... Nienawiść, strach, panika – to uczucia, których nigdy nie chciałoby się mieć w sercu, ale których nie można nie czuć, kiedy bombardują twój ukochany, pokojowy, suwerenny, niepodległy, niewiarygodnie piękny kraj. Bombardują go za to, że jest wolny. Za to, że jest niezależny. Za wolność słowa. Za to, że istnieje – wbrew woli najeźdźców.

I nienawidzę całej rosj i za to. Można powtarzać setki razy: „to nie my, to nasza władza, nic nie możemy zrobić, my wam pomagamy, my was chronimy!”, ale to cały naród rosyjski jest chory. Tę chorobę można nazwać moralną niezdolnością: niezdolnością do otwarcia oczu, do przyznania się do błędów, do spojrzenia na świat nie przez pryzmat putinowskiej rosj i, do pogodzenia się z tym, że rosj a to po prostu kraj, a nie żadne wielkie imperium, do niewybielania przemocy „braterską miłością”. Nie jesteśmy braćmi. Nie jesteśmy nawet dalekimi

kuzynami. Jesteśmy tylko znajomymi, którzy kiedyś się spotkali. Nie mamy wspólnej szczęśliwej historii, wspólnej pokojowej przeszłości, wspólnej kultury czy języka. Jesteśmy różni – tak bardzo różni, że Rosja nigdy nie zrozumie, że Ukrainą nie kierują USA czy Zachód, tylko pragnienie wolności. To pragnienie płynie w naszej krwi, jest zakodowane w naszym, ukraińskim DNA.

Zawsze wierzyłam, że pokojowe rozwiązywanie sporów to priorytet. Że to słowa, a nie przemoc, mogą wszystko naprawić. Ale teraz moje pacyfistyczne poglądy uległy całkowitej zmianie – zmieniły się w pragnienie, by wszyscy okupanci spalili się w piekle.

Nienawidzę Rosji za to, że nasi mądrzy, utalentowani chłopcy muszą walczyć, bronić się i odzyskiwać każdy kawałek naszej ziemi.

Nienawidzę za to, że giną nasi żołnierze i cywile.

Nienawidzę za ten myśliwiec, który właśnie przeleciał nad domem z przerażającym „żżżżżżuuuuch” i za ten dreszcz w rękach, którego nie mogę opanować przez bardzo długi czas.

Nienawidzę i nigdy nie wybaczę.

26.02.2022. Porządkowanie myśli trwa dalej. Aby nie wpadać w panikę, czytamy wiersze ukraińskich poetów – to trochę pomaga. Bo choć wiadomości, bardzo różne – straszne i pokrzepiające, z informacjami o stratach i sukcesach – stały się nieodłączną częścią naszej rzeczywistości, to jednak wyczerpują spokój. I kiedy siedzisz na podłodze w korytarzu, słuchając wycia syren, wiatru i broni, wiersz Liny Kostenko o marzycielskiej, delikatnej miłości koi serce choćby na chwilę:

„Nie wiem, czy Cię ujrzę znów, czy nie.

A może to nie o to przecież chodzi.

*Lecz najważniejsze, że gdzieś w oddali
jest ktoś, jak nieugaszone pragnienie.*

Nie wezwę szczęścia, które nie jest moje.

Echo echa tam nie doleci.

Myślę o Tobie. Wiem, że jesteś.

I od tej myśli dusza mi jaśnieje”.

(Na język polski przełożyła Marija Perewenko)

27.02.2022. W Charkowie niespokojnie, głośnie wybuchy przerażają. Ale przez tych kilka dni nie tylko ciało zdążyło się jakoś przystosować

do wojennych warunków – serce także. Bo wierzę w nasze Siły Zbrojne, wierzę w naszych Bohaterów, wierzę w Boga.

28.02.2022. Dziś spałam. Spałam długo, jakby organizm ładował się po długim bezsennym czasie. Nigdy nie myślałam, że będę się dziwić takiej rzeczy jak pełnowartościowy sen. A dziś – był jak prezent.

01.03.2022. Dziś są moje urodziny. Pierwszy dzień wiosny. I dziś, po raz pierwszy od sześciu dni wojny – zapłakałam. Płakałam, gdy mój wujek, żołnierz walczący ze złem w samym epicentrum walk, zadzwonił, by złożyć mi życzenia. Tak po prostu – życzył mi pokoju i zdrowia. Nie mogłam powstrzymać łez – płynęły jedna za drugą. Przez te dni jakbym utraciła wszystkie emocje, poza niepokojem, lękiem i strachem. Ale wydaje się, że każda łza zmywała z twarzy brud strachu, odsłaniając choć odrobinę szczęścia, uśmiechu i ogromnej wdzięczności.

Dziś w główny plac Charkowa – największy plac w Europie – trafił pocisk i zniszczył jego dużą część. To było miejsce, gdzie ludzie lubili spacerować,

gdzie się śmiali, świętowali ważne wydarzenia, oświadczała się. Pocisk trafił w twarz miasta – i tego nie da się wybaczyć rosjanom, którzy istnieją bez ani jednej kropli dobroci, współczucia czy rozumu, zdegradowani i zatruci własną nienawiścią do wszystkiego, co istnieje na świecie. Absolutna cisza – to jest wewnątrz rosjan, wewnątrz rosyjskich i białoruskich żołnierzy, wewnątrz urzędników wysokiego szczebla rosyjskiej i białoruskiej – bo nie mają serca, które mogłoby bić, nie mają rozumu, który mógłby myśleć i rozumieć.

Wieczór. Znowu latają myśliwce. Strach, przerażenie – jak jeszcze można nazwać to, co dzieje się z tobą, kiedy słyszysz te dźwięki nad swoim domem? Nie wiem, jak, jak, JAK? Filmy, które trafiają do sieci – z eksplozjami, słupami światła, wyglądają jak kadry z filmu akcji... tylko że to nie film. To rzeczywistość.

02.03.2022. Noc była straszna. Poranek spokojniejszy, znajomy (na ile to możliwe). Ale dzień – przerażający. Bomba spadła bardzo blisko – celem była Charkowska Obwodowa Administracja

Państwowa, całkowicie zniszczona. Dlatego zdecydowałam się zmienić miejsce pobytu. Szłam po odłamkach, po kawałkach szkła, i nie mogłam zrozumieć, nie mogłam pojąć: dlaczego to się dzieje? Jak to jest możliwe przez czyjeś chore, imperialne fanaberie?

Ta dzielnica była jedną z najpiękniejszych w Charkowie! Oni próbują złamać ducha Ukraińców, niszcząc miejsca bliskie sercu, budynki, które wiele dla nas znaczą. Ale to tylko budzi gniew – cichy, twardy, jak dźwięk tłuczonego szkła pod butami. Z głębi duszy wypływa tylko nienawiść.

Wieczorna aktualizacja: Zmieniałam lokalizację, zmieniło się otoczenie, zmienili się ludzie wokół mnie – ale syreny nadal wyją tak samo głośno. Ukryta w bunkrze wśród kilkudziesięciu studentów, pogrążonych w swoich milenialskich sprawach, mogę posłuchać muzyki – czego nie robiłam od początku wojny. Może niesłusznie, że nie słuchałam wcześniej... a może dobrze – bo teraz efekt jest silniejszy. Czuję, jak w moich żyłach wyrastają drobne kielki pewności siebie. Takie małe przyjemności.

03.03.2022. Dzień pełen wydarzeń. Ale mimo że strach jest dominującym uczuciem, przebiła się radość – bo jechałam do domu. Mimo długiego marszu do dworca kolejowego, mimo alarmu lotniczego, mimo plecaka i torby z najpotrzebniejszymi rzeczami – szłam, żeby być z rodziną. Ściany leczą. W domu, z rodzicami, jest łatwiej – bo jesteśmy razem. I dlatego czuję się trochę spokojniej. Dlaczego tylko „trochę”? Bo nadal się martwię, nadal słyszę alarmy, nadal nieustannie myślę, myślę, myślę.

04.03.2022. Jestem w domu.

05.03.2022. Trudno zachować spokój. Ciężko znieść myśl, że gdzieś tam, daleko, Rosjanie mogą spokojnie spać.

06.03.2022. Permanentny strach wypełnia każdą komórkę ciała. Ciągły niepokój buczy syreną w głowie. Czasem tak bardzo, że nie potrafię odróżnić tego dźwięku od prawdziwego alarmu za oknem.

07.03.2022. Dziś na kilka godzin wyszło słońce – i zrobiło się trochę jaśniej na duszy.

08.03.2022. Dzień był spokojny, co okazało się złudne, bo dziś obudziliśmy się od dźwięku eksplozji. Mam nadzieję, że to nasza obrona przeciwlotnicza zestrzeliła wrogi pocisk.

10.03.2022. Dziesięć alarmów lotniczych. Kiedy siedzisz w korytarzu, czas płynie niesamowicie wolno... W ogóle – dni ciągną się niemiłosiernie.

11.03.2022. Zdarzają się też spokojne dni: możesz bez pośpiechu zjeść śniadanie, poczytać książkę, wykonać swoje obowiązki służbowe – i to wydaje się taką miłą rutyną. Nawet przez chwilę możesz sobie wyobrazić, że to wszystko to tylko zły sen. Ale nadchodzi kolejny dzień (12.03), wieczór, noc, która płynnie przechodzi w poranek, bo całą noc wyła syrena i słyszać było dźwięki, które ktoś na czacie zidentyfikował jako wybuchy. I znowu uświadamiasz sobie, że to wojna, że jest strasznie, że niepokój żyje w tobie – i wszystko to jest już zapisane w twoim mózgu gdzieś bardzo głęboko.

13.03.2022. Podczas wojny decyzje są albo bardzo łatwe, albo bardzo trudne. Decyzja o wyjeździe z miasta – zwłaszcza nie w pełnym składzie

rodziny – była niezwykle trudna. A właściwie: nie tyle trudna, co potwornie trudna.

14.03.2022. Cały dzień spędziliśmy na dworcu, zastanawiając się, dokąd jechać i czy w ogóle jechać. Zamiast jechać w nieznane, postanowiliśmy udać się w bardziej bezpieczne miejsce – do przyjaciół mamy. I po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak bardzo się boję. Nie jestem odważna, nie jestem dzielna.

15.03.2022. Podróż była w porządku, nawet dość komfortowa. Ale ten wyjazd różnił się od poprzedniego – tego z bombardowanego Charkowa – bo wtedy jechałam z jednego domu do drugiego, też swojego. A teraz opuszczam swoje rodzinne strony i jadę w obce miejsce. To kolejny powód do nienawiści, bo do takich kroków zmuszeni jesteśmy my – wszyscy Ukraińcy.

Aktualizacja. Miło znaleźć się na wsi. Całe dzieciństwo spędziłam w atmosferze małego miasteczka, prywatnego domu, ogrodu. W takich miejscach powietrze i niebo są inne: czystsze, lepsze, jaśniejsze.

16.03.2022. Kiedyś myślałam, że wczesne wstawanie to zupełnie nie dla mnie – ale podczas wojny tyle się zmienia, także i to. Gdy martwisz się tak bardzo, że nie możesz zasnąć, albo gdy pada się ze zmęczenia fizycznego czy psychicznego i zasypia w sekundę po dotknięciu poduszki – wtedy czas nie ma już znaczenia. Organizmowi jest wszystko jedno, czy to siódma rano, czy siódma wieczorem. Ale na wsi śpi się lepiej. Może to przez to, że zasypiamy przy ciepłym kominku, może przez ten niepowtarzalny zapach palonego drewna... A może jeszcze przez coś innego.

17.03.2022. Dzień był pełen wydarzeń i emocji. W ciągu tych dni wojny czułam się bezużyteczna – bo nie byłam wolontariuszką, bo nie przelewałam dużych sum na wojsko. Dopiero dziś, po raz pierwszy od niemal miesiąca, poczułam się częścią ruchu wolontariackiego – bo plotłam siatki maskujące. Mam ogromną nadzieję, że wszystkie te siatki ochronią naszych żołnierzy, naszych chłopaków, naszych bohaterów! Ale mimo to pojawiła się dziś apatia – kiedy nie masz już siły

udawać normalnego nastroju, kiedy wszystkie lęki płaczą się w jeden ciężki kłębek, a przygnębienie uciska w piersi.

18.03.2022. Gdy jesteś czymś zajęta – pleceniem siatek, myciem naczyń, krojeniem buraków czy marchewki – myśli odpływają jak odpływ morza. I można sobie wyobrazić, że wszystko jest OK, że to wcale nie jest takie straszne. Ale potem rzeczywistość wraca – z wiadomościami z Mariupola, z doniesieniami o ofensywie wroga, z rozmowami o zagrożeniach – i myśli znowu przypływają, znowu atakują.

19.03.2022. Wściekłość roznieca się jak drewno w kominku – i płonie. Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę: wszystkich, którzy usprawiedliwiają wojnę, tych, którzy mówią „wy potom pojmiecie (później zrozumiecie)” (tak, tacy krewni też się zdarzają), tych, którzy zabijają naród ukraiński – fizycznie i moralnie. Bo tego nigdy nie zrozumiem. Tego nie da się zrozumieć.

20.03.2022. Chyba dzień był w porządku – skoro nie miałam potrzeby niczego tu zapisywać.

A teraz nie pamiętam, jak minął. W ogóle mam wrażenie, że pamięć się pogarsza. Czasem czytam wiadomości, a potem nawet nie mogę sobie przypomnieć, co przeczytałam.

21.03, 22.03, 23.03, 24.03. Te dni przeleciały bardzo szybko, bo były zabarwione ciągłym rozdrażnieniem i uczuciem emocjonalnego wypalenia. Ale to mała cena — bo są nasi żołnierze, którzy tam, na froncie, chronią nas przed prawdziwym złem. I im jest o wiele trudniej.

25.03.2022. Oto co napisałam przyjaciółce na pytanie „jak nastrój”: „A nastrój prawie zawsze taki sam: neutralnie-poirytowany. Różnica polega tylko na tym, na jakim jest etapie.” Dziś fazy zmieniały się co godzinę. To chyba bardzo egoistyczne z mojej strony...

26.03.2022. Strach. Po prostu... jakby nigdy nie odchodził. Tylko się przytłumia, żeby potem znów zaatakować nową falą. Czasem chce się płakać, prawie codziennie chce się płakać — ale tego nie robię. Bo coś we mnie „przeskoczyło”: chcę płakać ze szczęścia, kiedy skończy się wojna, kiedy

wypędzimy wroga z naszego kraju. Piszę to i boję się; jest strasznie, bo nie wiadomo, co przyniesie jutro. Nie ma pewności co do czegokolwiek.

27.03.2022. Właśnie odprowadziłam Natalkę na autobus, a w głowie jednocześnie zero myśli i milion myśli – ale są tak szybkie, że nie mogę ich złapać.

28.03–07.04.2022. Dni zlewają się w jedną spiralę – absolutnie identyczną. Dzień przechodzi w noc i tak w kółko.

08.04.2022. To przerażające, po prostu przerażające – czy naprawdę istnieją aż tak niemoralne, nieludzkie istoty, które są zdolne strzelać w kierunku dworca, gdzie ludzie próbują się ewakuować, gdzie biegają dzieci? Miesiąc temu byłam na tym dworcu, spędziłam tam cały dzień – a dziś spadła tam rakietą. Dzisiejszy dzień potwierdza istnienie takich kanalii – w całym skupisku, bo narodem ich nazwać się nie da.

09.04.2022. Czuję jakąś beznadzieję, żyję w ciągłej niepewności. Za łatwo mi było, kiedy

przyjechaliśmy tutaj z Kramatorska – i teraz wszystko, co „zignorowałam”, o czym nie chciałam myśleć, wszystko, co mówią o Charkowie i obwodzie donieckim – uderzyło ze zdwojoną siłą. Chce mi się płakać, ale nie płaczę – choć może właśnie dlatego stałam się tak drażliwa i agresywna.

Wypalenie emocjonalne jest takie, że już nie chce się pisać tych małych monologów.

W 478 dniu wojny mogę powiedzieć: nienawidzić – to normalne, to nie czyni cię mniej człowiekiem. Płakać – to normalne. Uśmiechać się i śmiać – też normalne. Każdy przeżywa ten trudny czas, jak potrafi. Ale mimo wszystko – każdy z nas musi wierzyć, całym sercem wierzyć w zwycięstwo i robić choćby cokolwiek, żeby ono przyszło jak najszybciej.



Marija Iwaszczenko

WĘZEŁ GORDYJSKI. NOC JARZĘBINY

I

Co to było? Może śmieciarka znowu przewróciła kontener na śmieci? Nie, jest głośniejsze. Coś nieźle zagrzmiało, budząc mnie i koty. Najwyraźniej dźwig się przewrócił. Tak, na pewno dźwig się przewrócił na placu budowy. W porządku, nie. Idź spać. Nie ważne. Trzeba się przespać.

Budzę się o ósmej. Biorę telefon: pierwsze, co zauważam, to 11 nieodebranych połączeń od przyjaciółki, a potem: nieodebrane, nieodebrane, wiadomości, Viber, Telegram, FB – wszędzie. Coś jest nie tak... Wchodzę na Viber. Piszę do taty:

8:17 On – Cześć.

8:51 Ja – Cześć.

8:51 Ja – Co się tam dzieje?

8:57 On – Wojna.

W ten sposób po raz pierwszy dowiedziałam się o wojnie. Co czuję? Spokój. Bez zdziwienia. Uświadomienie sobie, że tak, wojna. Tak, jakby to musiało się stać. Nie wierzyłam w jej początek. Dzień

wcześniej nie spakowałam alarmowej walizki, tylko na wszelki wypadek zamówiłam fajny nóż składany, który miałam dzisiaj odebrać, ale utknął w jakimś magazynie Rozetki. Co robić? Co robić?

9:01 On – Gdzie jesteś?

9:02 Ja – W domu.

9:03 Ja – Co robić?

9:03 On – Nic (jak zwykle cechuje go obojętność i spokój).

9:03 On – Bądź w domu.

9:03 On – Wpadnę później.

Odpowiadam wszystkim. Piszę do mojej mamy. Ona jest zmartwiona. Charakterystyczne dla niej jest hiperbolizowanie wszelkich wydarzeń. A teraz jest szalenie zmartwiona. I jakże miałyby się nie martwić. Nie chciała mnie wypuścić z Helsinek. Przewiozłam siostrę, przewiozłam psa. Pojechałam po suplement do dyplomu. I nie planowałam powrotu w najbliższej przyszłości. Tam wiedzieli, że nadejdzie wojna. To było tam przewidywane już dawno temu. Tam zaufali danym amerykańskiego wywiadu. Tam mąż mojej mamy, zawsze miły i wrażliwy człowiek, stał się nadmiernie poważny: „Zostań tutaj. Nie wracaj teraz na Ukrainę. To może być niebezpieczne”. Co

znaczy „nie wracaj”? Jak mogę „nie wracać” do domu? Nie, pojadę. Mój lot do Rygi został odwołany. Nic, biorę bilet na nocny prom do Tallina, a stamtąd autobusem do Rygi. Dam sobie radę. Dałam radę...

Telefon od koleżanki:

– Cześć gdzie jesteś? Dlaczego nigdy nie odbierasz telefonu?

– Spałam.

– Spała. Spakuj swoje rzeczy, brat cię zaraz odbierze.

– Och, Tańka, poczekaj. Dokąd on przyjedzie?

– Po Ciebie.

– A gdzie jesteś?

– Jesteśmy u niego w pracy, w Bolszewiku. Otwarto tu schron przeciwbombowy dla robotników.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Zbieraj się.

– Nie, czekaj. Nie musisz do mnie jechać. Tata mnie zaraz odbierze.

– Na pewno?

– Tak. Wszystko jest normalnie. Jak długo tam jesteś?

– Od 6-ej rano. Usłyszeliśmy eksplozję. Mój brat był na nocnej zmianie. I przyjechał po nas.

– Eksplozja... Dobra, na razie, oddzwonię później.

– Dobrze. Tylko pisz i odbieraj telefon...

Przeglądam pasek wiadomości. Natrafiam na post Janiny Sokołowej:

„Armia ukraińska odparła atak na miasto Szczastia – podczas próby natarcia zniszczono sprzęt i zabito około 50 wrogów”. Wow, 50. Wydaje się, że to dużo. Nie mam pojęcia o skali i liczebności, zwłaszcza że w ostatnich latach wojna na Wschodzie przeciągnęła się, przekształcając w „tryb ciszy”.

Karmię koty, jem płatki. Muszę się przejść, nie mogę siedzieć w mieszkaniu. Chyba będę potrzebować pieniędzy. Prawie nie mam hrywien. Ale są babcine 1500 euro, które wypłaciłam z depozytu 3 dni temu. Jak dobrze, że je wypłaciłam. Muszę je wymienić. Wkładam część pieniędzy do plecaka, wychodzę z domu. Idę przez park, widzę ludzi, nie widzę zmian.

Ktoś spaceruje z dziećmi na placu zabaw, ktoś wyprowadza psy, a oto niektórzy – i całkiem sporo osób – stoją w długich kolejkach do bankomatu. Podchodzę do Gnata Jury. Kantory wymiany walut są nieczynne. Kantory wszędzie są nieczynne. Banki są zamknięte. Ponuro. Na niebie przelatują śmigłowce wojskowe. Muszę zrozumieć. Muszę zrozumieć, co

mam robić. Jak mam działać? To jest moja wojna. Dziwnie to przyznać, ale czuję jakieś przyjemne podniecenie. To, co przez lata chowano za zasłoną „bratniego narodu”, „ich tam niet”, „ratowanie rosyjskojęzycznej ludności” – staje się jawne. Dla całego świata, wreszcie. Ale przede wszystkim dla Ukraińców, którzy byli „poza polityką”. Czyżby wreszcie otworzyły im się oczy? Czyżby zrozumieli, że rosja to kraj-agresor i że tak było zawsze. Że rosja przez całą historię swojego nikczemnego istnienia miała na celu zniszczenie narodu ukraińskiego, ludobójstwo Ukraińców, owijając to w różne zgniłe, kłamliwe postulaty. Żeby tylko tym razem nie zapomnieć... Żeby tylko później nie wybaczyć... Żeby zawsze być w pogotowiu.

– Cześć, przyjaciółko. Wszystko u ciebie ok? – piszę do Liny. Razem skończyłyśmy wydział prawa KPI, razem trenowałyśmy taekwondo, boks, muay thai, a raz nawet spróbowałyśmy kyokushin. Żartem nazywałam ją moim „bojowym towarzyszem”. Stawiałyśmy sobie wyzwania – i przewyciężałyśmy je. Umówiłyśmy się, że w razie wojny wstąpimy do Obrony Terytorialnej w Swiatoszynie albo Sołomiance – to nie było istotne. Ważne, by znać

teren. W moim wyobrażeniu wyglądało to tak: TRO działa na przypisanej im lokalizacji. Nie jestem kijowianką, ale skończyłam szkołę na Borszczahiwce i KPI na Sołomiance, więc znam te rejony – to moje dzielnice.

– Cześć, wszystko OK. Jestem w pracy – ona po studiach pracowała w Radzie Najwyższej, dzięki grantowi na staż, choć nigdy szczegółowo nie wypytywałam, na czym dokładnie polega jej praca. – Co będziemy robić?

– Spotkajmy się po pracy. Przyjeżdżaj do mnie, omówimy wszystko.

– Ok, będę u ciebie około 19-tej.

– Zrobimy u mnie naszą osobistą kwaterę główną) – próbuję żartować.

Ale to wcale nie przypominało gry. Może ja postrzegałam to jako grę. Podświadomie. Nie przywiązywałam wagi do wydarzeń, które się rozgrywały. Wszystko to jakiś absurd. Wojna w XXI wieku, pełnoskalowa wojna na Ukrainie, w cywilizowanym świecie, w świecie dominacji technologii informacyjnych i gadania o globalnym ociepleniu. Jakim cholera cudem to się dzieje? A czy życie to nie gra? Nie dziwi już nic, poza jednym: jak

łatwo stracić życie... Więc co tak naprawdę ma sens?

O 16.00 mam korepetycje u dziewczyny «z brygady». W myślach tak ją nazywałam, ponieważ ona chciała dostać się do Narodowej Akademii Spraw Wewnętrznych na kierunek „Ochrona praw człowieka” – a wszystko przez to, że obejrzała „Brygadę” i fascynowała ją atmosfera bandytyzmu, tych burzliwych lat 90. I nie byłoby to aż tak zabawne (sama – nie przyznałabym się głośno – też byłam zainteresowana takimi tematami), gdyby nie to, że była jeszcze taka młoda: skąd mogła to wiedzieć? Ja niestety wychowałam się na rosyjskiej muzyce, serialach, całym tym śmietniku, który celowo został wciągnięty w naszą przestrzeń informacyjną, manipulując naszą świadomością, używając różnych technik wpływu, w szczególności kotwiczenie: np. niech w 2013 roku na Krymie non-stop lecą hity z czasów pionierskich, niech wzbudzają nostalgię za czasami sowieckimi... Miałam 23 lata w dniu 24.02.2022. Tylko 23? Aż 23? Ale nie 17.

– Planujecie gdzieś teraz wyjechać?

– Najprawdopodobniej pojedziemy na daczę. Będziemy tam kilka tygodni.

– Dobrze, w takim razie dam ci kilka zadań.

Nie będziesz chodzić do szkoły, będziesz miała więcej czasu na przygotowania do matury.

– Jeśli w ogóle się odbędzie...

– Na pewno się odbędzie. Widzisz, teraz nauka języka ukraińskiego jest potrzebna jak nigdy dotąd. Wojna zaczęła się m.in. przez język. Dlatego musimy podejść do tego bardzo odpowiedzialnie. I kontynuować doskonalenie ukraińskiego, nawet w takich warunkach – wciskam jej to wszystko, a ona patrzy na mnie z pół zrozumieniem, pół zdziwieniem.

Wychodzę z domu. Naprzeciwko nasza szkoła. Wkładam do kieszeni zarobionego Tarasa, czyli 100 hrywien – choć w tym kontekście mówienie o Szewczence pewnie nie jest odpowiednie. To symboliczna zapłata za lekcję. Żeby nie pracować za darmo. Ja i dziewczyna «z brygady» skończyłyśmy tę samą szkołę.

Znowu idę w stronę Gnata Jury, aby pójść do „Silpo”, kupić coś na kolację dla siebie i kotów, wziąć dwie butelki fińskiego ginu, który można dostać tylko w Finlandii i w „Silpo”. Trzeba się napić. Oczywiście, że trzeba się napić.

Nie podoba mi się to niebo. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego przerażającego nieba.

Zadymionego, zachmurzonego, groźnego. Niebo nad Ukrainą, przynosisz nam cierpienie, stratę i ból. Dlaczego tyś zawisło dziś nad nami? Fotografuję, by pamiętać (zdjęcia nr 1 i 2 na str. 117).

Wracam do domu. Wkrótce noc. Trzeba podjąć jakąś decyzję.

Zawsze myślałam, że w chwilach największego zagrożenia, na krawędzi, w wirze nieprzewidywalnych zdarzeń, w zawiłych zbiegach okoliczności... ja... jakby to powiedzieć... czy będę potrafiła postąpić inaczej? Czy zdołam zgromadzić wokół siebie najbliższych? Czy będę dla ciebie potrzebna? Czy będę miała przy sobie bliskich, z którymi pójdę ramię w ramię i będę podejmować trudne decyzje? Czy dla nich będę gotowa umrzeć? Nie wiem, co mam na myśli...

– Będę o 21-ej – mówi Lina.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, spotkajmy się jutro rano.

– Dobrze.

Mam potrzebę побыć sama. Nie chcę z nikim rozmawiać. Czytam wiadomości: „Lotnisko w Hostomlu jest w pełni pod kontrolą naszych wojsk”, „Zwiadowczy pluton rosyjskiej brygady

zmotoryzowanej poddał się w całości pod Czernihowem”, „Armia daje odpór” – a może nam się uda powstrzymać ofensywę? Może odeprzemy atak? I naprawdę stawimy szybki opór? Trzeba przetrwać tę noc, a dalej zobaczymy.

Pukanie do drzwi. Tata, spokojny i obojętny jak zawsze. Tata jest ignorantem.

– Co ty tu robisz?

– Nic. A ty?

– Zawiozłem swoich na wieś. Jedź z nami.

– Nie, zostanę tutaj.

– No nie, jedź z nami. I zabierz koty. Co ty tu sama będziesz robić?

– Ale ja nie jestem sama. Lina do mnie przyjdzie. Mamy plany.

– Jakie plany?

– No... zjemy kolację i razem coś postanowimy.

– Tylko nigdzie nie wychodź.

– Tato, zobaczę. Jestem już dorosła. Zastanowię się, co robić.

– Nie pojedę na wieś bez ciebie. A oni tam sami.

Zaczynam się denerwować. Do obcej mi wioski, do jego kochanki, która zrujnowała małżeństwo

moich rodziców, na pewno nigdy nie chciałabym jechać.

– To ty jedź. Ja mam tu swoje życie, swoje plany.

– Nie pojedę bez ciebie – jego oczy stają się wilgotne.

– Tato, co z tobą? – obejmuję go z jakimś głupim uśmiechem. Czuję się niezręcznie. – Wszystko w porządku. Będę w Kijowie.

– Jasne... – obraził się. – W takim razie idę, jeżeli nie chcesz jechać. Pa.

Czuję się winna. Ale muszę robić to, co uważam za słuszne. Powinnam postąpić godnie. To moja wojna. Jak postąpić najlepiej? W okolicznościach, które zagrażają istnieniu mojego kraju, muszę stanąć w jego obronie – nawet z bronią w ręku. Nawet za cenę własnego życia. Rano podejmę decyzję. A teraz jest noc...

Zaklejam okna taśmą, ścielę sobie i kotom posłanie na podłodze w łazience, wydaję z lodówki słoik ginu (żeby się nie bać), pakuję wszystko potrzebne do plecaka i czekam. Grzmi. Mocno. Wybuch za wybuchem. Nie myślę o tym, czy to naloty, czy odloty, czy daleko, czy w nas, czy nasza

obrona przeciwlotnicza robi swoje – nie zwracam uwagi na te niuanse. Słyszę tylko jedno: wybuch. To jest wybuch.

Leżę, dobrze by było się przespać. Ale zasnąć nie mogę. Boję się. Dopijam gin. Boję się. Włączam medytacyjną muzykę do snu na YouTube. Nie pomaga. Podgłaśniam w słuchawkach, ale i tak słyszę uliczny hałas. W wiadomościach czytam o alarmie lotniczym, o prośbie, by udać się do schronu. Najbliższy schron – parking koło „Sílpó” 5 minut od domu. Za daleko. Noc. Iść? Nie iść? Siedzimy z kotami w łazience. Wygląda na to, że moje kolana zaczynają drżeć. W głowie pojawia się dialog:

- A jeśli teraz trafią w mój dom?
- To znaczy, że taki los – i musisz umrzeć.
- Jestem przerażona.
- Uspokój się. Czego się trzęsiesz?
- Nie wiem. Nogi mnie nie słuchają.
- Opamiętaj się. Cokolwiek się stanie – nie bój się śmierci. Pamiętasz słowa Turiańskiego: «Dopóki jestem – śmierci nie ma. Gdy przyjdzie śmierć – mnie nie będzie».
- Tak. Ale to co innego... Boję się wybuchów.

Tego dźwięku. To nienaturalne...

– Spróbuj zasnąć.

– Tu niewygodnie.

– Miau – Musia drapie drzwi, pragnąc wolności i nie rozumiejąc, dlaczego zamknęłam ją w łazience.

– Musia, kurcze, nie rozumiesz, że w pokoju jest niebezpiecznie? Siedź tu.

– Miau.

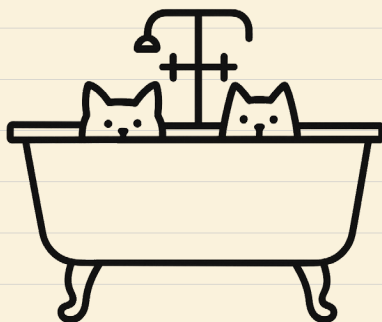
– Siedź tu, mówię.

– Wariuję.

– Weź głęboki oddech. Wyobraź sobie, że to grzmot. Zwyczajny grzmot.

– Jak masz zamiar mnie oszukać?... Przecież ty to ja.

Wygląda na to, że się uspokoiło. Mam dość siedzenia w łazience. Otwieram drzwi, wypuszczam koty, kładę się na łóżku. A do cholery, może rzeczywiście po prostu trzeba się przespać...



II

Zapisuję to w swoich notatkach: „Najpierw czuję strach. Potem czuję wstyd z powodu mojego strachu. Później usprawiedliwiam się, jakby strach był czymś naturalnym. Za chwilę te myśli przyćmiewa złość: nie chcę być tchórzem. Zbieram się w sobie. Dopóki znów nie rozlegnie się eksplozja...”. To była pierwsza noc. Pierwsza świadoma noc początku wojny. Najstraszniejsza noc w moim życiu. Potem nie było już tak strasznie, choć było nieprzyjemnie.

Poranek jest łżejszy, spokojniejszy niż noc. Może jest słonecznie. Czytam wiadomości. Maszerują na Kijów. Zdobywają wsie, miasteczka, małe miasta. Bombardują Czernihów, Charków, Odesę, Umań, Kijów. Kijów... Ulica Koszycia 7A, fragmenty rakiety uderzyły w dom. „Istnieje zagrożenie zawalenia się domu” – mówi Kłyczko. Zbliżają się. „Grupa dywersyjna okupantów, którzy wtargnęli do centrum Kijowa pod przykrywką ukraińskich wojskowych, została zniszczona”. Rosyjski konwój zmierza do Irpienia... Jak to Irpienia? Prawobrzeże? Mieszkam 13 kilometrów

od Irpienia. Charków trzyma obronę, Czernihów trzyma obronę. Orkom jest trudniej zbliżyć się do Browarów, ale idą do Irpienia i tam dotrą. Będą gwałcić, zabijać, niszczyć i okaleczać. O, bracia Białorusini. Przekłęte siusiumajtki.

Telefon od przyjaciela:

– Wszyscy jedziemy do Winnicy, a potem do wioski mojej babci.

– Dobrze, Taniu. Będę tutaj.

– Na pewno nie chcesz jechać z nami? Możemy cię zabrać już teraz. Bardzo trudno jest teraz wyjechać z Kijowa. Ruch uliczny.

– Tak, na razie zostanę tutaj. Dziękuję. Ale wolałabym zostać w domu.

– W porządku, uważaj. Bądź ostrożna.

Czytałam o kolejkach w komisariatach wojskowych. Odwiedziłam Swiatoszyński dwa tygodnie temu. Wzięłam skierowanie na badania, podpisałam deklarację z moim lekarzem rodzinnym. Ale nie mogłam oddać krwi, bo usłyszałam od niego w języku rosyjskim: „Co cię martwi, myślisz, że każdy może mieć badanie krwi za darmo”. „Potrzebuję go do wojskowego biura rejestracji i poboru, tu jest skierowanie”. Znów odpowiedź po rosyjsku: „To

nie jest skierowanie, to kawałek papieru”. „Pan nie rozumie, że to ważne? Chcę się zarejestrować w komisariacie wojskowym”. I ponownie odpowiedź po rosyjsku: „O czym z tobą rozmawiać?”. O niczym, ty draniu. Może teraz zrozumiałeś. Przynajmniej to, że jestem obywatelką Ukrainy i mam prawo do bezpłatnej opieki medycznej. Później podpisałam nową deklarację, kiedy przypadkowo trafiłam do lekarza rodzinnego w Akademii. Właściwie sekretarka powiedziała mi, że nie ma wolnych lekarzy rodzinnych, że muszę poczekać 3 tygodnie i ustawić się w kolejce. Wjechałam jednak na 3 piętro, zobaczyłam napis „Lekarz rodzinny” na drzwiach gabinetu, z którego wyszła pielęgniarka i skorzystałam z okazji. To była kobieta (nie jestem seksistą, wszystkie zbiegi okoliczności są przypadkowe). „Dzień dobry. Szukam lekarza rodzinnego”. „Co się stało? Jest pani chora?”. „Nie, nie jestem chora. Chcę tylko zarejestrować się w wojskowym biurze rekrutacyjnym. Muszę przejść kilka testów. Czy mogę podpisać z Panią deklarację?”. „Tak, oczywiście. Potrzebujemy młodych ludzi”. Uśmiechnęła się, ja też. Tego dnia udało nam się zrobić wszystko oprócz fluoroskopii.

Pamiętam słowa pielęgniarki podczas kardiogramu, kiedy leżałam naga na kozetce: „Jesteś młoda, piękna, znajdziesz męża wojskowego. Ale polegaj na sobie. Będziesz dużo zarabiać. Wojskowi są teraz dobrze opłacani”. Czułam się nieswojo, kłócąc się z nią w tym momencie. Najwyraźniej ona również nie wierzyła, że wojna wkrótce nadejdzie.

– Czytałam, że teraz trudno jest dostać się do komisariatów wojskowych. Musimy poczekać kilka dni – napisała Lina.

– Co będziemy robić?

– Możemy pojechać tam w porze lunchu i zobaczyć, co się dzieje.

– Dobrze. Napisz, kiedy będziesz wolna. Czekam.

Gdzie mam zabrać koty? Muszę dać je tacie, żeby zabrał je do swojej wioski. Może powinnam zabrać je do mojej matki chrzestnej? Ale ona mnie nie puści.

– Tato, weź koty – piszę do niego z nadzieją.

– Gdzie miałbym je zabrać?

– Do wioski. Jeszcze nie wyjechałeś, prawda?

– Nie, mówiłem ci, że nie wyjadę bez ciebie.

– Wczoraj mówiłeś, że możesz je zabrać ze sobą, nieprawdaż?

– Nie, tylko jeśli pójdziesz z nami.
– No tato....
– Nie zabiorę samych kotów.
– Po prostu teraz są dla mnie trochę uciążliwe...
– Chodź, zbieraj się, pojedziemy razem.
– Tato, Lina i ja chcemy dołączyć do Obrony Terytorialnej.

– Nie, nie dołączysz do żadnej Obrony Terytorialnej.

– Tato, to moja decyzja. Chcę...

– Jadę do ciebie. Zbieraj się.

Być może nie trzeba było wspominać o Obronie Terytorialnej. Nie ma gdzie wymienić euro, więc muszę wypłacić trochę hrywien. Stoję w kolejce do bankomatu. Ludzie martwią się ograniczeniami dotyczącymi wypłat gotówki. Ja się nie martwię. Na karcie mam 600 hrywien. Szybko je wypłacam i idę do sklepu. Nie pamiętam, skąd ją mam, ale mam kartę z 1000 hrywien, którą mogę płacić tylko w sklepie spożywczym. To albo karta podarunkowa, albo jakiś specjalny limit kredytowy od Monobanku. Idę do Velmart. Najpierw sprawdzam, czy działa: biorę kilka paczek karmy dla kotów. Udało się. Teraz

mogę zrobić zakupy spożywcze. Przyjeżdża mój tata i zaczyna się: „Wyjedźmy na kilka dni”. „Nie pojadę bez ciebie”. „Zostaniemy tam dwa dni, a potem wrócimy do Kijowa”. „Czekają na mnie. Ja też nie mogę tam długo zostać, bo muszę pracować”. Biorę więcej jedzenia, kasze, wodę, batony energetyczne, sok, płatki śniadaniowe, mleko, coś jeszcze... Alarm przeciwlotniczy. Eksplozja.

Idziemy na parking. Zastanawiam się, jak rozmieszczone są schrony. Ludzie się zadomawiają. Przynoszą koce, stołki, psy, koty, walizki. Rozmawiają, hałasują, słuchają muzyki, czekają. Dzieci płaczą. Wszyscy siadają między samochodami. Nie chcemy tam siedzieć... Wracamy.

- Zbieraj się. Odbiorę cię za godzinę.
- Muszę iść do Liny, obiecałam jej.
- Możemy zabrać ją ze sobą do wioski.
- Nie sądzę, żeby się zgodziła, ale zapytam ją.

To właśnie wtedy napisała do mnie z pytaniem, czy mogłabym odebrać coś z akademika KPI (Kijowski Instytut Politechniczny im. Igora Sikorskiego) i przywieźć jej to do Złotej Bramy. Kiedy dotarłam na przystanek tramwajowy, nasze

plany uległy zmianie: „Nie jedź już. Zostałam tu przysłana z pracy, muszę znaleźć sabotażystów, dzieje się tu jakiś bałagan, spieszę się”. „Wow, potrzebujesz pomocy?”. „Nie, to tajne informacje. Nie jestem sama. Prawdopodobnie nie będziemy mogli się dzisiaj spotkać. Przykro mi”.

Ta historia jest zbudowana wokół jednej decyzji – odejść czy zostać. Piszę o tym od dłuższego czasu. Ale myślałam o tym jeszcze dłużej. Obwiniłam się i robiłam sobie wyrzuty. Czy nie powinnam była wtedy zostać? Co było główną przeszkodą – samotność czy strach?

Postanawiam pojechać do tej wioski z tatą na kilka dni. Przez dwa dni nic się nie zmieni, ale zostawi mnie w spokoju i wszyscy poczują się spokojniej. Dobra, jedziemy. Niczego ze sobą nie zabieram. Niczego. Poza małym plecakiem z dwiema koszulkami, starym sportowym zegarkiem z zepsutym sekundnikiem, latarką zdjętą z roweru, kompasem, który za coś kupiłam, gotówką, której nigdzie nie można wymienić, kilkoma dokumentami i pistoletem Borner PM49 Makarov. Zabieram też kupione jedzenie i dwa koty w pudełkach. Gdybym wiedziała, że nigdy nie wrócę do tego

wynajmowanego mieszkania, w którym mieszkałam przez 5 lat, wzięłabym przynajmniej laptopa. I może jakieś albumy ze zdjęciami.

Musimy się spieszyć, żeby zdążyć na wieczór. Korki, trudno wyjechać z Kijowa. Ta wioska znajduje się 80 km od Kijowa, na skrzyżowaniu obwodów kijowskiego i żytomierskiego. Drogi są zablokowane. Nie można przejechać autostradą przez Żytomierz. Wchodzę na mapy Google. Niemożliwe. Są coraz bliżej. Niektóre wojskowe kolumny przedarły się do Wynohradaru (zdjęcie nr 3 na str. 117).

Czytam o czołgu, który przejeżdża i miażdży samochody. Wow, czy mogą tak poprostu zabijać cywilów? Czy mogą tak po prostu strzelać do zwykłych samochodów z czołgów, odrywać nogi kierowcom, strzelać do pasażerów? Jestem w szoku. Pierwsze uczucie to oburzenie. Jestem zdumiona bezczelnością tych nie-ludzi, którzy ośmielili się przekroczyć granicę mojej ziemi, włamać się do mojego domu, zostawiając ślad śmierci. Powtarzam w myślach słowa Liny Kostenko: „Muszą mieć szatańskie zamiary, nieuleczalną wściekłość, żeby tak srogo z nas kpić i obwiniać nas o wszystko!”.

Tata jest doświadczonym kierowcą. Jeździ taksówką w Kijowie od 10 lat. Znajduje okazję, aby wydostać się z miasta. Jedziemy objazdem. Mijamy zniszczony posterunek. Zdajemy sobie sprawę, że kolumny orków zbliżają się – i w każdej chwili możemy spotkać się z nimi czołowo. „Walki trwają w pobliżu Dymery i Iwankowa w obwodzie kijowskim. Duża liczba rosyjskich pojazdów opancerzonych ruszyła w kierunku Kijowa. Wysadzono most na rzece Teteriw, aby opóźnić okupantów”. Walki w Hostomlu. Dokąd właściwie jedziemy? Jedziemy do wioski oddalonej o 20 kilometrów od miejsca, w którym za kilka dni będą stacjonować ludzie Kadyrowa.

Rozgwieżdzone niebo. Bardzo piękne niebo. Zapach sosen, szczekające psy. Wchodzimy do domu. Po raz pierwszy widzę kochankę mojego ojca. Poznałam już ich dziecko, nie ma jeszcze roku. Dom jest pełen ludzi. Wszyscy są jej krewnymi. Jej rodzice, siostrzeńcy, wujkowie, ciotki. Ot, przyjechałam... Jest przyjazna. A ja nie wiem, jaką mam być. Każdy, kto zranił najbliższą mi osobę, nie zostanie moim przyjacielem, nie wzbudzi we mnie

szacunku. Niemniej... Skoro tu jestem, muszę się jakoś trzymać.

Dzielimy mały pokój z trzema łózkami. Jedno łóżko jest dla mnie i kotów, drugie dla mojego taty, kochanki, dziecka i ich kota, a najmniejsze łóżko jest dla jej 10-letniej siostrzenicy. Pociesza mnie to, że jest zabawną dziewczynką, która nie wie, co to podmiot i orzeczenie, myli Polskę z Połtawą, zapomina tabliczki mnożenia, ale uwielbia rysować i wymyślać nieistniejące historie ze swojego życia.

Jest noc. Dzieci w domu płaczą. Koty tego nie znoszą. Toczą walkę. Hałas, hałas, hałas. Dlaczego tu jestem? A gdzie mam iść?

III

Idziemy z tatą do lokalnego sklepiku – drewnianej chatki z ladą, gdzie można kupić MacCoffee za 3 hrywny – w poszukiwaniu papierosów, bez których nie może się obejść. Po drodze, ze łzami w oczach, robię mu awanturę. „Proszę, zawieź mnie do Kijowa”. „Nie podoba mi się tu”. „No taaato, chcę do domu...”. On znowu spokojny i obojętny, na wszystkie moje prośby odpowiada odmownie. Próbuję znaleźć sposób, by

się stąd wydostać. Na próżno. Most w Stojance – jedyna droga na trasę żytomierską prowadzącą do Kijowa – został zniszczony. Objazd jest długi. Mało paliwa. Pozostaje czekać (zdjęcie nr 4 na str. 117).

Jemy wodnisty rosół, nasza rodzina jest duża, jedzenia mało, jestem głodna, więc jem nawet słoninę. Są pieniądze – nie ma co kupić. Po powrocie ze sklepiku zapisuję w notatkach: „Wystawili chleb. Leży sobie samotnie na ladzie. Przybyły z dalekiej drogi, obmacany z bezradności. A tak pożądanym jak nigdy. Stoisz po niego wśród miejscowych i zastanawiasz się – czy dzisiaj będę mieć chleb, czy nie? Właściwie nie podobało mi się, że dotykano go brudnymi rękami, biorąc pieniądze, a potem znowu chleb. Ale niech tam. Ważne, żeby był.

Wieczorem mężczyźni organizują samoobronę wioski. „Chcesz do nas dołączyć?”. Oczywiście, że chcę. Bardzo chcę. Cieszę się. Chcę być użyteczna. Chcę być częścią obrony. Super. Wkładam swój pistolet pneumatyczny do dużej kieszeni mojej szarej zimowej kurtki. Idę z tatą na wieczorne spotkanie. Powoli nadchodzą mężczyźni: jedni samochodami, drudzy rowerami, jeszcze inni pieszo. Część z nich łuska nasiona, rzucając łupiny na ziemię,

pozostawiając po sobie czarne plamy na szarawej ziemi. Spotkanie odbywa się w centrum wioski – na skrzyżowaniu między Domem Kultury a sklepikiem. Nie ma innych kobiet, tylko ja. Tworzymy grupę na Viberze, ustalamy grafik dyżurów, dzielimy się po trzy osoby. Nam z tatą i jeszcze jednemu mężczyźnie przypada zmiana od 19 do 23. Jest możliwość pojechania do najbliższego miasta, zarejestrowania się i otrzymania broni. Chętni jadą następnego ranka do wojskowej komendy uzupełnień. W końcu jakiś ruch.

Jutro dostanę legitymację. Pojutrze – spróbuję kopać okopy, po pięciu minutach zrozumieć, że nie dorównam miejscowym mężczyznom-robotnikom (zdjęcia nr 5,6 na str. 117). Za tydzień – będę mieć konflikt z samoobroną miasta, do którego pojedziemy po broń. Oczywiście, odmówią mi wydania broni, bo jestem kobietą, broni jest mało, nie służyłam, nie umiem się nią posługiwać. Całkowicie logiczne.

Pójdę poszukać karmy dla kotów, znajdę psią, trudno, wezmę. Wracając do wojskowej komendy uzupełnień popełnię błąd – zacznę mówić do siebie, mając założone słuchawki, po prostu myśląc na głos.

Nie rozmawiajcie sami ze sobą, bo kto wam uwierzy, że nie jesteście dywersantami? Zatrzyma mnie lokalna obrona terytorialna, otoczy mnie czterech mężczyzn i zaczną przesłuchanie. Włączę tryb à la Ola Freimut i będę z patosem i oburzeniem bronić swoich praw: „Jak śmiecie? Mam legitymację. Pokażcie najpierw swoje dokumenty. Nie macie prawa tak do mnie mówić. Proszę zwracać się do mnie z szacunkiem. Chcę wrócić do bazy wojskowej”. – „To nie baza wojskowa, tylko szkoła”. – „Właśnie tam byłam”. – „Skąd pani przyjechała?”. – „Z Kijowa”. – „Z której dzielnicy?”. – „Z rejonu Swiatoszyńskiego. Z Borszczahiwki”. – „Z której Borszczahiwki?” (Kurczę, przecież nie mówimy między sobą, która to Borszczahiwka, po prostu Borszczahiwka, wyleciała mi nazwa z głowy). „Będę rozmawiać tylko w obecności wojskowych”. „Proszę z nami”. „Nie, będę rozmawiać tylko w obecności wojskowych!”. „Dziewczyno, proszę oddać telefon, słuchawki i pokazać kontakty. Myślimy, że jest pani dywersantką”. „Serio, chłopaki? Jaka ze mnie dywersantka? Przyjechałam tu z tatą, żeby dołączyć do obrony terytorialnej. Chcę być użyteczna, tak jak wy”.

Dwa tygodnie później przedstawiciele tej samej obrony terytorialnej zastrzelą nastolatka ubranego w mundur swojego dziadka. Chłopak przestraszy się, gdy zawołają go mężczyźni z karabinami i zaczną uciekać. Ja też się przestraszyłam, gdy zobaczyłam, że nie żartują. Zazwyczaj w każdej sytuacji miałam pewność, że cokolwiek się stanie – wszystko można naprawić, każde nieporozumienie można wyjaśnić, każdy problem można rozwiązać. Straciłam to poczucie w tamtym momencie. Później, kiedy dzięki Bogu wojskowi mnie rozpoznali, a ja znalazłam się na terenie bazy, nazywając tych mężczyzn idiotami (co miało swoje konsekwencje – tak nie należy robić), zdałam sobie sprawę, że nie jestem na swoim miejscu. Nie tam, gdzie powinnam być.

Dziś – pierwsza warta. Kilka kilometrów od nas jest miasteczko wojskowe. Często znajduje się pod ostrzałem. Widać tylko czerwony blask w nocy, jak przy pożarze. Z drugiej strony stacjonują nasi wojskowi, którzy wystrzeliwiają pociski balistyczne gdzieś w dal. Nie widzę tego, tylko słyszę. Dudni. Nieprzyjemnie. Wchodzę do Domu Kultury. Pośrodku sali stoi fortepian. Nie umiem grać, skończyłam muzyczną szkołę na gitarze. Ale

udaje mi się wymyślić prostą, minorową melodię i nawet nagrać ją na dyktafon. Jest mi zimno. Zły nawyk – lenistwo przy kupowaniu zimowych butów i chodzenie w jesiennych w zimie. Marzną mi palce. Założyłam trzy pary skarpet, które zabrałam ze sobą. Nie pomaga. Piszę: „Noc. Gwieździste niebo. Zimno. Słyszę wybuch. Trafiło gdzieś niedaleko. Choć nie widać. Przypomina mi się pękająca struna, zbyt mocno napięta wzdłuż gryfu. I mimowolnie wyobrażam sobie, że to ja. Ale nadal oddycham. Gdzie jest moja granica?”.

Boję się teraz umrzeć. Dlaczego boję się śmierci? Prawdopodobnie nie boję się samej śmierci. Myślę o tym, że boję się nie zdążyć. Nie zdążyć zrobić czegoś ważnego. Zrealizować tego, co mam do zrealizowania. Wypełnić swoje powołanie. Ale czyż ci, których dzisiaj zabijają ruscy, zdążają? Nie pytaj. Nie wiem, dlaczego ktoś pozostaje żywy, a ktoś umiera. Ale żyję, więc muszę coś robić. Nie zmarnować swojego życia. Przeżyć je godnie. Zawsze do czegoś dążę. Staram się zdobywać wymyślane przeze mnie szczyty, osiągać sukces, robić mnóstwo rzeczy naraz, jeszcze od dzieciństwa: uczyć się na ocenę celującą, chodzić do szkoły

muzycznej, trenować taekwondo, po treningach odrabiać lekcje do pierwszej w nocy. A potem studia. Jedne, drugie, trzecie. To nie wyścig, interesuje mnie system edukacji w Ukrainie. Fascynują mnie budynki placówek oświatowych, jak Tsukuru Tazaki fascynowały stacje kolejowe. Ale czy to wszystko jest na marne? Szkoda byłoby umrzeć, niczego nie zdążwszy. Wszystko, co mam – całe moje doświadczenie życiowe, całą wiedzę – nie zrealizować w czymś pożytecznym dla innych, a pogrzebać w sobie. Boże, pozwól mi zdążyć.

Wracamy z warty do domu. 200 metrów od domu znajduje się cerkiew patriarchatu moskiewskiego. Gdy tylko zadzwonią dzwony – po 10 minutach słyszeć wybuch. Nie rozumiem, jak to działa, ale te dzwony są złym znakiem. Może to sygnał dla naszych. Ale odbieram to wszystko negatywnie. Jasne, ze względu na przynależność cerkwi do PM.

Tata staje się drażliwy bez papierosów. Muszę oddać te, które miałam w plecaku. Nie palę. To jej papierosy. Wzięłam je na wszelki wypadek. Nie wiedziałam, jak mu to wytłumaczyć, że mam

papierosy, a nie palę. Ale kiedy je oddałam – był bardzo zadowolony i nie zadawał zbędnych pytań.

Podczas gdy on pali, stoimy na dworze pod nocnym gwiazdzistym niebem. Te gwiazdy są moją pociechą. Nagle – wybuch. Bardzo głośny. Tuż obok. Zadrżały ściany, szyby. A potem – coś leci w naszym kierunku. Coraz bliżej. Prosto na nas. Jestem przekonana, że to rakietą. Moje kolana uginają się bezwiednie, jestem gotowa za chwilę upaść na ziemię. Jeszcze chwila i... koniec. Myśliwiec. Boże, to był myśliwiec. Przeleciał tuż nad domem. Prawdopodobnie to on zestrzelił raketę, która spadła w pobliżu. Wchodzimy do domu. Wszyscy są zaniepokojeni i przestraszeni. Siadam na swoje łóżko. Siedzę. Moje nogi żyją własnym życiem. Ogarnia mnie senność. Muszę po prostu się przespać...



Galeria pamięci

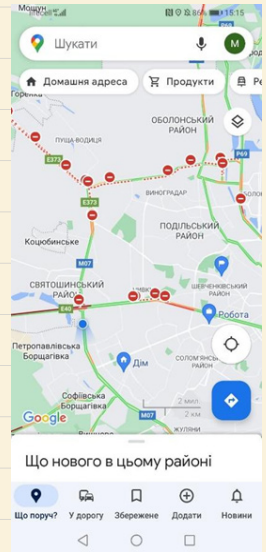


Zdjęcie nr 1



Zdjęcie nr 2

Zdjęcie nr 3



Zdjęcie nr 4



Zdjęcie nr 5

Zdjęcie nr 6



Marija Iwaszczenko

Anna Łymanska

Moje wspomnienia związane z wojną

Przed 23 lutego 2022 roku mieszkałam w Charkowie. Cieszyłam się życiem, chodziłam do ukochanej pracy, raz w miesiącu jeździłam na wieś do rodziców, w każdy weekend chodziłam na koncerty lub karaoke z przyjaciółkami, a od czasu do czasu zapraszałam młodszą siostrę do siebie w gości. Ogólnie czerpałam radość z życia.

Obudziwszy się od wybuchów 24 lutego 2022 roku od razu drżącymi rękami chwyciłam telefon, by zadzwonić do rodziców. Gdy usłyszałam głos ojca: „Nie martw się, połóż się jeszcze spać, bo jest bardzo wcześnie, a my się z tobą skontaktujemy, gdy będziesz szła do pracy”, trochę się uspokoiłam. Tuż przed wyjściem z domu otrzymałam wskazówkę od przełożonych: zostać w domu „przynajmniej na dzisiaj, a potem zobaczymy”. W pełni zdałam sobie sprawę, że wojna się zaczęła, i postanowiłam pojechać do rodziny w rejon iziumski w obwodzie charkowskim (kto by wtedy przypuszczał, że ten teren zostanie okupowany?).

Tego samego dnia leżałam już na kolanach mamy, czując słodki zapach rodzinnego domu.

Do kwietnia cała nasza rodzina mieszkała razem (oprócz czterech członków naszej rodziny, była jeszcze babcia, ciotka i siostrzeniec).

Wspomnienia z tego okresu są dla mnie najbardziej żywe. To chwile, momenty, obrazy. Kiedy spędzaliśmy dużo czasu w piwnicy, w sklepach nie było już produktów, a mama na Maszynę usmażyła naleśniki, które okazały się najsmaczniejsze w moim życiu. Później, gdy zniknęła łączność i nie było prądu, zaczęłam haftować ręcznik z napisem „Na szczęście, na dole!” i obsesyjnie powtarzałam sobie każdego dnia jak mantrę: „Wystarczy, że wyhaftuję ręcznik – a wojna się skończy”. 8 marca, kiedy znów nic nie można było kupić w sklepach, tata zerwał dla nas pierwiosnki i napisał życzenia na kartce.

Przez długi czas nie było łączności, więc nie było skąd czerpać wiadomości. Moim największym lękiem było „przespać” coś strasznego. Po tym, jak zobaczyłam wideo, na którym w okupowanych miastach zamiast naszych flag wieszano trójkolory,

codziennie rano biegłam do okna, by zobaczyć niebiesko-żółtą flagę na naszym centralnym placu.

Kiedy w naszym regionie zrobiło się niebezpiecznie, niektóre sąsiednie wsie zostały okupowane, a ich mieszkańcy jako osoby wewnętrznie przesiedlone zamieszkali w naszej miejscowości. Chcąc poczuć swoją „przydatność” ludziom, zebrałam się na odwagę (choć nadal się bałam) i poszłam do rady wiejskiej, by zaproponować swoje usługi wolontariusza jako psycholog. Niestety, musiało to zostać uzgodnione z wyższymi władzami obwodowymi, a gromadzenie się w jednym miejscu było niebezpieczne, więc moje pomysły na terapię grupową i szkolenia nie zostały zrealizowane.

Jednym z najtrudniejszych momentów była chwila, gdy z siostrą usłyszałyśmy rozmowę rodziców o tym, że powinniśmy wyjechać do innego miasta. Chodziło o to, że bez nich nie zgodziłybyśmy się na wyjazd. Później, kiedy przedstawiciele rady wiejskiej zalecili ewakuację, trudno było nam z siostrą namówić rodziców do opuszczenia domu. Kosztowało nas to długą rozmowę przez całą noc, łzy, prośby i ultimatum. Ostatecznie w ciągu kilku godzin

podjęto wspólną rodzinną decyzję i spakowano kilka najpotrzebniejszych rzeczy. O świcie cała rodzina wyruszyła w nieznane „na kilka tygodni” (jak nam się wtedy wydawało).

Po jednym dniu spędzonym w Dnieprze ruszyliśmy dalej. Tak po raz pierwszy znalazłam się w czarującym mieście Czerniowce. Tam zobaczyłam billboard, który wywołał u mnie łzy: „Charków dziękuje za gościnność” – to były także moje myśli w tamtym czasie. Jestem nieskończenie wdzięczna ludziom, którzy nas przyjęli, oraz wszystkim mieszkańcom, którzy okazali nam życzliwość (zdjęcie nr 1 na str. 123).

W tym czasie przysłała wiadomość o okupacji naszej miejscowości. Mama płakała, tata siedział w milczeniu. A ja byłam szczęśliwa, że są przy mnie.

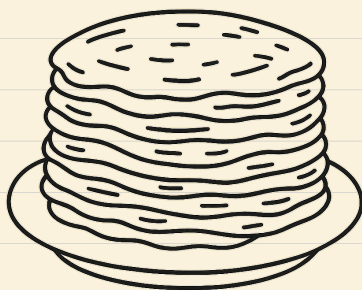
Po dwóch miesiącach odpoczynku w Czerniowcach pojechaliśmy do Charkowa. W mojej pamięci utkwił moment, gdy o świcie jechaliśmy na wschód, w stronę wschodzącego słońca. Na Wschód – czyli do domu (zdjęcie nr 2 na str. 123).

Gdy dotarłam do swojego bloku, poczułam ciepło w sercu – nie tylko dlatego, że za kilka minut

wejdę do swojego mieszkania, ale także dlatego, że na metalowych drzwiach był napis farbą: „Tu szabrownicy giną bez ostrzeżenia”. W tym wszystkim czuć było, że każdy broni swojej ziemi, na miarę swoich możliwości.

Symbolicznie było zobaczyć na swoim piętrze na klatce schodowej gniazdo gołębi z małymi jajkami. Tata doglądał go codziennie i pewnego dnia zawołał nas, by pokazać nowe życie, które pojawiło się na świecie. Po raz pierwszy widziałam nowo narodzone gołąbki i to umocniło we mnie nadzieję, że życie toczy się dalej (zdjęcie nr 3 na str. 123).

Wojna jest straszna, ale pokazuje, że trzeba żyć tu i teraz. Trzeba nauczyć się czerpać radość z prostych rzeczy. Z wiarą w zwycięstwo.



Galeria pamięci



Zdjęcie nr 2



Zdjęcie nr 1



Zdjęcie nr 3

Anna Łymanska

Fotografie: *Switłana Sakun, Ksenija Miszczenko,
Marija Iwaszczenko, Anna Łymanska*

Koncepcja i opracowanie graficzne: *Sofija Butko*
W opracowaniu graficznym wykorzystano elementy
wygenerowane przy użyciu sztucznej inteligencji
(ChatGPT, OpenAI)

Tłumaczenie na język polski: *Walerija Borikowa,
Ksenija Babuszko, Złata Czernihowa,
Iryna Romanyszyn, Sofija Lin, Marija Ożyjowa,
Ewelina Sawczukowa, Alisija Zawerucha,
Ksenija Zub, Anastasija Szaruta, Marija Perewenko,
Sofija Dibriwna*

Redakcja: *Sofija Butko, Jurij Kochan, Ołesia Tielieżkina*

Redakcja i opracowanie tłumaczenia: *Sławomir Wawryszuk*

Skład i opracowanie techniczne: *Myroslawa Morozowa*